



Wiesław Malicki  
(1935-2011)

# Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XVII Nr 7(191) Żelów, lipiec 2012

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

## W numerze:

**Wiersze:** Dariusza Dziurzyńskiego, Magdaleny Cybulskiej, Elżbiety Gałęzewskiej-Krasińskiej, Kazimierza Iwosse, Krzysztofa Kalisza, Christiana Medardusa Manteuffela, Małgorzaty Południak, Jakuba Schönhof-Wilkansa

**Andrzej Dębkowski** – *Nasze wolności*

**Leszek Żuliński** – *Wietrzna kobiecość*

**Józef Baran** – *Przystanek marzenie*

**Stefan Jurkowski** – *Piękni infantylni!*

**prof. Maria Szyszkowska** – *Filozofia codzienności*

**prof. Ignacy S. Fiut** – *Sily i wymiary miłości*

**Igor Wieczorek** – *Nowa władza*

**Kazimierz Iwosse** – *Szambo*

**Andrzej Bartyński** – *Jeden wiersz*

**Lech Knopiński** – *Fraszkopis z Konopi*

**Emil Biela** – *Trylogia księdza Roberta Nęcka*

**Teresa Nietyksza** – *Wiesław Malicki – zawsze poeta*

**Rafał Orlewski** – *Urzekający debiut powieściowy*

**Zbigniew R. Szymański** – *„Z Bogiem” na meczu żużlowym dopingując Tomasza Golloba*

**Jarosław Stejskał** – *Profesor ortopeda z Żelowa*

**Irena Kaczmarczyk** – *„Śmierć bogów”*

**Christian M. Manteuffel** – *Wędrówka pod znakiem psiej gwiazdy*

**Joanna Żaglewska** – *Czas jak rzeka*

Wydarzenia, Informacje

Zapowiedzi

Opinie

Noty

Poglądy

Konkursy, Witryna

Kronika



Z cyklu: „Pejzaże polskie”

Foto: Andrzej Dębkowski

## Kronika

Zmarł profesor  
Stefan Stuligrosz

15 czerwca br., w szpitalu w Puszczykowie, zmarł **profesor Stefan Stuligrosz**, założyciel i dyrygent Chóru Chłopięcego i Męskiego Filharmonii Poznańskiej „Poznańskie Słowiki”.

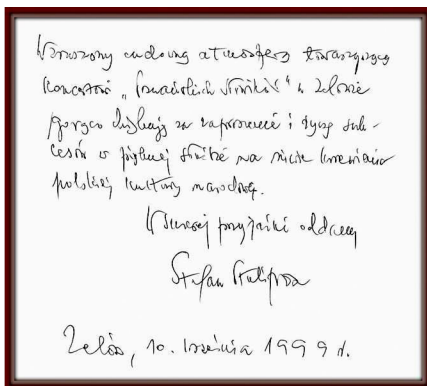
Urodził się 26 sierpnia 1920 roku w Poznaniu. Od najmłodszych lat pasjonował się muzyką. Po zakończeniu drugiej wojny światowej rozpoczął wyższą edukację muzyczną. Przebiegła ona błyskawicznie: 1951 – dyplom z muzykologii na Uniwersytecie im. A. Mickiewicza w Poznaniu pod kierunkiem prof. Adolfa Chybińskiego; 1953 – dyplom z dyrygentury symfonicznej u prof. Waleriana Bierdiajewa; 1953 – dyplom ze śpiewu solowego u prof. Marii Trąmpczyńskiej oraz fortepianu i teorii muzyki u prof. Gertrudy Konatkowskiej w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Poznaniu.

Profesor Stuligrosz oprócz „Poznańskich Słowików” prowadził także Chór Mieszany im. Stanisława Moniuszki, Chór Męski „Echo”, Chór Politechniki Poznańskiej.

Był tytanem pracy i entuzjazmu artystycznego, a także w latach 1953-1963 kierownikiem Redakcji Muzycznej Rozgłośni Poznańskiej Polskiego Radia, a od 1971 roku do 1990 roku – prezesem Poznańskiego Towarzystwa Muzycznego im. Henryka Wieniawskiego.

Skomponował blisko 600 utworów na chór *a capella*, z towarzyszeniem fortepianu, organów i orkiestry. Opracował dziesiątki kolęd i pieśni.

10 września 1999 roku profesor Stuligrosz wraz z „Poznańskimi Słowikami” gościł w Zelowie w ramach V Letnich Koncertów Festiwalowych.



## Czas jak rzeka...

...*jak rzeka płynie...* – śpiewał kiedyś Czesław Niemen. Nie znaczy to jednak, że każdemu upływa śpiewająco. Wojciechowi Łęckiemu (poeta, satyryk, dramaturg, dziennikarz) też minęło już 25 lat od debiutu książkowego w „Iskrach”, gdzie po ingerencjach cenzury wydał zauważony przez krytykę skromny tomik pod oksymoronicznym tytułem „Drzewa szare od marzeń”. Debiut prasowy miał miejsce kilka lat wcześniej w „Więściach” pod okiem znanego poety i dziennikarza Józefa Barana. Potem były następne książki. Wydał ich w sumie 16 z wyborem wierszy „Urwisty brzeg łagodności”, który stanowi niejako podsumowanie całej jego twórczości poetyckiej.

Wprawdzie jest on od półwiecza mieszkańcem Płocka, jednak na swój benefis wybrał lipnowskie Miejskie Centrum Kulturalne, gdzie zastał bardzo sprzyjające warunki do promocji twórczości literackiej. Placówka ta obecnie rozkwita pod kierunkiem dyr. Katarzyny Wesołowskiej-Karasiewicz wieloma imprezami, promującymi kulturę zarówno wysoką jak i lokalną, a nawet dziecięcą. Najbardziej znane w Polsce są majowe przeglądy twórczości filmowej „Poła i Inni”, poświęcone głównie czołowej *divie* kina niemej na świecie Poli Negri, która urodziła się w tym mieście jako Apolonia Chałupiec. Pozbawione przemysłu Lipno może się poszczycić stosunkowo bogatą tradycją kulturalną. Stąd wywodził się również wybitny aktor, reżyser i pedagog teatralny, dramaturg, powieściopisarz i krytyk teatru z przełomu XIX i XX wieku Wincenty Rapacki (ur. 1840). W 1980 roku urodził się w Lipnie uznany poeta Władysław Brodzikowski (ps. Wubeusz), autor kilku tomików wierszy. W pobliskim miasteczku Skępe spędził życie głośny poeta romantyczny Gustaw Zieliński (ur. 1809), autor kilku poematów i powieści poetyckiej w stylu byronowskim „Kirgiz”. Cały ród Zielińskich ze Skępego oddał duże zresztą zasługi dla kultury polskiej. Przekazał m.in. Płockowi bezcenny księgozbiór, znany obecnie pod nazwą Biblioteka im. Zielińskich Towarzystwa Naukowego Płockiego.

Benefis Wojciecha Łęckiego odbył się 11 maja w odnowionej sali lipnowskiego MCK. Imprezę poprowadził poeta Sławomir Ciesielski, prezes Lipnowskiej Grupy Literackiej. Oprawę muzyczną stanowiły piosenki w wykonaniu Ady Izraelskiej, uczennicy Szkoły Muzycznej im. F. Chopina w Warszawie. W imprezie wzięli udział przedstawiciele władz lokalnych, miłośnicy literatury z Torunia, Płocka, Lipna i okolic oraz przyjaciele autora z różnych stron. Był duży tort i świece...

Głównym punktem programu okazała się promocja wymienionego na wstępie obszerne go wyboru wierszy poety, wydanego przez Wydawnictwo Komograf. Łęcki zaprezentował z tej okazji najlepsze wiersze z dotychczasowego dorobku oraz garść fraszek i kilkadziesiąt aforyzmów. Recytacje przerywane były występami wokalnymi. Przekrojowa prezentacja pozwoliła zebrany przeszedł ewolucję poety od bardzo oszczędnych w słowa debiutanckich wierszy, pisanych pod wpływem różewiczowskiej wersyfikacji, do neoklasycznych, budowanych za pomocą sprozaizowanej, znacznie wydłużonej frazy. Koneserom poezji przypadły do gustu szczególnie te długie, pełne zapętleń i zaskakujących puent wiersze,

które w wielu wypadkach powstały z inspiracji autora znanymi im miejscami, ulicami, zakamarkami lub zdarzeniami. Nie uszedł też uwadze uczestników sarkazm, ironia i humor autora, zawarty w jego fraszkach i aforyzmach, a zwłaszcza, że większość z nich dotyczy doskonale znanej im rzeczywistości. Tak się złożyło, że w ostatnich książkach Łęckiego przeglądają się miasteczka Ziemi Dobrzyńskiej z Lipnem włącznie. Karol Maliszewski uznał jedną z nich „Widok ustronny” za najlepszą w dorobku poety. Dużym zaskoczeniem była żywa reakcja sali na prezentowaną twórczość. Jubilat ponad godzinę odpowiadał na pytania, które dotyczyły niemal wyłącznie zaprezentowanych utworów oraz jego inspiracji twórczych. Niektóre dotyczyły samych początków twórczości, np. tego, kiedy i dlaczego napisał pierwszy wiersz. Na szczęście nie było tym razem pytań w rodzaju: skąd się biorą wiersze? lub: kiedy pan pisze, rano czy wieczorem?



Wojciech Łęcki rozdaje autografy adeptkom poezji

Chyba po raz pierwszy Łęcki wyjawiał swoją opozycyjną i solidarnościową przeszłość. Mówił o udziale w protestach społecznych w latach 1968-89 i o rozczarowaniu obecną, jak to określili, niby demokracją, w której państwo koncentruje się głównie na ściąganiu podatków, nie gwarantując w zamian prawie żadnej ochrony np. przed przestępcami. Właśnie taka demokracja pozwoliła pazernym bankowcom bezkarnie wywołać niemal globalny kryzys gospodarczy. A myśmy się właśnie nią zachłysłeni. I wprowadziliśmy u siebie ten najbardziej krwiożerczy kapitalizm. Tylko pozorowanie nie jest to literacki temat. Ciekawe, czy znajdzie się jakiś współczesny Szekspir, co prześwieślił go swoim talentem.

Książka poetycka nie jest chodliwym towarem. Tym razem było nieco inaczej. Autor długo podpisywał zakupione książki, wysłuchując przy okazji – taki los – wielu uwag, krytycznych również, choć nie było ich zbyt wiele. Uczestnicy usatysfakcjonowani byli poziomem imprezy i dość szerokim spektrum zainteresowań oraz doświadczeń życiowych autora, którymi podzielił się z czytelnikami.

JOANNA ŻAGLEWSKA



TERESA NIETYKSA

# Wiesław Malicki – zawsze poeta

## (1935-2011)

*Nędzną rzeczą jest człowiek na starość, nie więcej niż lachmanem wiszącym na kijku, i chyba że dusza pieśni składać umie, kłaśnie w ręce, a od cielesnych zniszczeń pieśni jej przybywa. Tej wiedzy w żadnej szkole śpiewu nie nabędzie, w pomnikach własnej chwały tylko ją odkrywa.*

(William Butler Yeats, *Odjazd do Bizancjum*.  
Tłumaczenie Czesław Miłosz)

W maju minęła pierwsza rocznica śmierci Wiesława Malickiego. Odszedł od nas nagle, w sile wieku i dobrej kondycji twórczej. Był bardzo obecny w naszym środowisku literackim, pielęgnował bowiem kult twórczych zdolności człowieka i wiarę w ocalenie go poprzez sztukę.

Kiedy przed wielu laty poznałam Wiesława Malickiego, zapamiętałam go jako gorącego wyznawcę takiego właśnie, Horacjańskiego poglądu. Nigdy się go nie wyrzekł; był bowiem poetą natchnionym, był poetą zawsze. Poezja go ściagała, jakby upodobała sobie szczególnie Jego towarzystwo. Był poetą również, gdy pisał swoje ulubione aforyzmy.

„Być poetą to znaczy być swoim własnym sędzią” – mówił – niezapomniany Władysław Tatarkiewicz. Na pewno tę sentencję można odnieść do twórczości Malickiego. „Poezja żywcem wymyka się wszelkim określeniom. Określenie jest dla niej rodzajem trumny szklanej, która przejrzyściejąc zabija” – to myśl Bolesława Leśmiana; podobną znajduję w aforyzmie Wiesława Malickiego: „Zalety nazwane po imieniu karleją”.

Wiesław Malicki to poeta, którego twórczość mieści się w czasie bez mała 50 lat.

Charakteryzuje go namiętność w poszukiwaniu właściwego poetyckiego wyrazu. To Norwidowe: „Odpowiednie dać rzeczy słowo” towarzyszy mu nieustannie. W jednym z aforyzmów autor sam się dyscyplinuje mówiąc: „Słowa! trzymajcie fason!”

Był poetą z indywidualnym piętnem i własną wizją świata. A wizja ta świadczy o szczególnej wrażliwości i dojrzałości twórczej poety. To, co go najbardziej zajmowało, cieszyło, bolało i wzruszało – to człowiek z całym jego dobrodziejstwem. Poezję jego cechuje potężny ładunek empatii. To niewątpliwie decyduje o tym, że staje się ona tak bliska czytelnikowi.

Nieczęsto spotyka się kogoś, kto tak jak on był zwrócony zawsze ku innym. Zawsze ciekawy czyjegoś świata, czyjego wiersza, innej wyobraźni i poetyckiej wizji. Z myślą o tym napisałam aforyzm, który tu przytoczę: »Tylko wielkiego artystę stać na miłość do konkurencji«. Okazało się, że jakbym przyszła w sukurs Malickiemu, bo w jego bogatym zestawie aforystycznym doczytałam się później następującej sentencji: „Jego otwarte spojrzenie było zamknięte dla konkurencji”. Tym bardziej mój aforyzm niech zostanie ukłonem w stronę

Wiesława za jego niespotykaną życzliwość i empatię, która tak bardzo go wyróżniała w naszym literackim gronie.

Sam Autor powie o sobie:

„Dla mnie literatura, to nie tylko specyficzna szansa poznawcza, lecz przede wszystkim możliwość szczególnego przeżywania swej jedności ze społeczeństwem, z całą przyrodą, możliwość nie tyle uświadamiania sobie własnej niepowtarzalności czy odrębności, co pełniejszego dostrzegania tego u innych. Pisząc, wyrażam przy tym wiarę w istnienie tych wartości, które odkrywam dla siebie w otaczającym mnie świecie”.

(„Z dna soczewki”)

To „dostrzeganie u innych” spowoduje powstawanie coraz obszerniejszych zbiorów aforystycznych, takich jak: „Z dna soczewki”(1986), „Wyłuskane z czasu”(1987), „Słowa pod wiatr”(1997), „Wędrowki do ludzi”(1987), „Słowa owocujące”(1989), „W koleinach dłoni”(1999), aż po „Abecadło aforystyczne”(2002) i ostatnie wydane przez Instytut Sztuki Uniwersytetu Opolskiego „Myśli na wynos”(2005). Ostatni zbiór wyróżnia się wyjątkową formą edytorską, przemyślanym i oryginalnym pomysłem graficznym, który niewątpliwie dodaje jej splendoru i podkreśla wyjątkowość tego przedsięwzięcia. Natomiast „Abecadło aforystyczne” doczekało się II wydania, tuż przed tragiczną śmiercią Autora., tzn. w pierwszym kwartale 2011 roku.



Wiesław Malicki

Wiesław Malicki miał szczęście pozyskiwać sobie znanych grafików przy realizacji swoich książek, takich jak m.in.: Alina Borowczak-Grzybowska, Zdzisław Chudy, Zygmunt Morzyto, Bolesław Polnar, Irena Nyczaj, Aleksandra Janik, Zbigniew Kresowaty i Magda Hławacz. Jak również, nie do pominięcia są nie-

zwykłej urody fotografie Romana Hławacza ilustrujące „Wędrowki do ludzi”. Nie obyło się też bez śladu współpracy z Januszem Młynarskim.

O talencie Wiesława Malickiego wypowiadały się takie autorytety jak: Joachim Glensk, Bogusław Żurkowski, Kazimierz Kowalski, Wiesław Kazanecki, Kazimierz Słomiński, Jan Leończuk, Wilhelm Przeczek, Stanisław Nyczaj czy Zbigniew Kresowaty, lokując, przeważnie, Wiesława Malickiego w czołówce polskich aforystów, jak również podkreślając suwerenność poetyki tego autora.

Z wielości tematów, wybrałam wiersze szczególnie przeze mnie admiirowane.

Wiersze te, jako przetworzenie indywidualnego dramatu Poety, mówią o kondycji ludzkiej natury wobec praw moralnych tak więc posiadają walor uniwersalności. W wierszach tych wyraża się bogactwo duchowe Autora, wielka inteligencja i próby odnajdywania motywów ludzkiego postępowania, jak też poszukiwanie metafizycznego uzasadnienia życia.

*W każdym z nas jest jarmark  
grzechy główne i droga do nieba  
śmietniki pełne szczurów  
zwierzęta u wodopoju*

*Nie mówmy ufny  
że zabijać coraz łatwiej*

*Rzadko do lasu kościoła  
zachodzimy posłuchać chorału  
Godniej być sardynką na pikniku  
i puszkę porzucić i miłość*

*Ktoś tu pięknie tańczy na linie  
ktoś tu pestki wypluwa bezbłędnie  
Czy przypadkiem flet szczurołapa  
nie śpi gdzieś za kominem*

*Nie mówmy  
że zabijać coraz łatwiej*

(„W każdym z nas”)

Podobną wymowę mają wiersze „Jesteśmy dziećmi Kaina”, jak również „Nie mów, że nie wiesz”, „Idea”, „Pozwólmy oczom naszym”, „Adideacja współczesna”, „W imię ocalenia”

*Nie mów że nie wiesz Możesz nie podolać  
bez sumienia nie przejdiesz judaszowej ściany  
Z tych którym odjęto słowa od istoty rzeczy  
tworzono zadżumionych albo bezimiennych*

*Bac by w tobie chociaż jeden liść ocalał  
daruj zmarszczki zwierciadłu a myśl chroń od  
pajęczyn*

*Miej sumienie mieć je abyś się nie zbłądził  
jako przewodnik po własnym labiryncie*

(Dokończenie na stronie 4)

## Wiesław Malicki

(Dokończenie ze strony 3)

(„Nie mów ze nie wiesz”, *W stronę ufności*)

„Dopóki moja Ojczyzna jest inna niż inne, jest równie piękna”.

Przywołuję tę sentencję autorstwa Wiesława Malickiego, bo bardzo się z nią zgadzam, a poza tym chcę zaznaczyć temat, jakim w jego twórczości jest głębokie zatroskanie o losy Ojczyzny i tej małej ojczyzny – Opolszczyzny. Wiele wierszy jest serdecznie związanych z Opolem, takie jak np. „Opolskie gniazdo”, „Sekwencje opolskie” „Opole”, „Miasto” „Aż gorzko od wesela”.

Szczególnej urody są wiersze poświęcone dzieciom Autora, które urodziły się przecież w Opolu.

*Miasto mojego syna i ptaków  
a one coraz rzadziej szukają tu drzew*

*Gdy okna powtarzają mi gwar rozbudzonych ulic  
widzę że i ten dzień na nas czeka  
więc patrzę na pociąg sąsiedniego dworca  
bez żalu*

*To miasto powszedniego rytuału  
o przydeptanych chodnikach przykurzone  
słońcem  
na każdym skrzyżowaniu niepewności  
wciąż cieszy zieloną chwilą*

(„Opole”, *W stronę ufności*)

Również dedykacje, którymi tak hojnie opatruje autor swoje utwory pełnią dodatkową rolę wprowadzając całą plejadę znanych postaci Opolan, mogłaby z tego powstać oddzielna praca, galeria interesujących postaci, poszerzająca opolski pejzaż. Niewątpliwie jest to też wyraz miłości autora do miasta i ludzi, którzy je tworzą, a często wiele dla niego znaczą.

W swojej miłości do Opola Wiesław Malicki chyba był pewny wzajemności. Nie myślę o nagrodach władz miasta, czy wojewódzkich, myślę o obecności Wiesława Malickiego w opolskim pejzażu, w który wpisał się na stałe. Tak bowiem jest, że legenda pisze się sama, a przekonanie nie tym, którzy zbyt o nią zabiegają. Kto nie znał Malickiego? Nawet ci, którzy się z nim osobiście nie zetknęli mówili: „ach, to ten Poeta!”.

Może tak było, również dlatego, że Wiesław Malicki był wrażliwy na wszystko, co spotykał w życiu. To właśnie powodowało rodzenie się jego aforyzmów na co dzień. Jego twórczość ma siłę i moc, daje nadzieję i wzywa do przemiany serc, niesie pocieszenie i afirmację życia.

Pamiętam, co pewnego razu zdarzyło się nam w trójkę. Janusz Młynarski grafik, miał wykonać plakat dla towarzystwa „Powrót z U”. Mogę powiedzieć, że stworzyliśmy go wspólnymi siłami: Janusz, Wiesiek i ja. Plakat został wykonany przez Janusza, wiersz dał Wiesiek, pomysł tego wszystkiego był mój. Oto wiersz, który znalazł się na plakacie:

*Na polach kwitną maki a ty głupia płaczesz  
na oślep biegniesz w stronę własnej męki  
a syn twój pierworodny trzyma z aniołami  
w siódmym kręgu nieba  
pośrodku żywota*

*Depcesz urodę kwiatów chciwie i zazdrośnie  
a na czystych obrusach zabraknie makowca  
Majaczysz i przeklinasz zrywasz się po nocach  
a syna życie jest oczarowaniem*

*Na polach kwitną maki a ty głupia płaczesz  
Na makach kwitnie motyl  
ze wspólnej fotografii*

(„Głupia” *W stronę ufności*)

Losy zagubionych młodych ludzi, narkomanów, a w późniejszych wierszach i bezdomnych to nierzadkie tematy w zbiorach poetyckich Malickiego. Przemawiają szczególnym dramatem, podobnie, jak liczne utwory poświęcone dzieciom poszkodowanym i z domów dziecka. Równie wzruszają wiersze poświęcone ludziom samotnym i starym.

Dotknęłam tylko paru tematów, a jest ich tak wiele, jest przyjaźń, miłość, ludzkie przywary i zalety, jest wiele wędrówek do ludzi w kraju i poza granicami Polski, znajdziemy wszystko co dotyczy „człowieczych światów” – poświęcenie, dobroć, uśmiech nad ludzkimi przywarami, ale i poważny osąd, gdy sprawy są poważne, znajdziemy zachwyt dla sztuki i twórczości i dla jej animatorów.



Wiesław Malicki podczas ostatniego Zjazdu ZLP (pierwszy od lewej w drugim rzędzie)

Oddzielnym tematem na pewno będzie lwowska proveniencja Autora, wiersze związane ze Lwowem, jak też z ulubionymi twórcami takimi jak Eliot, Tagore, Rolland, czy Herbert. Oddzielność stanowią też wiersze, które może niezbyt precyzyjnie nazwę religijnymi, podobnie jak te poświęcone naszemu Papieżowi. Dużo będą mieli pracy z Malickim literaturoznawcy.

Ja jeszcze tylko nie mogę sobie darować i choć troszeczkę zahaczę o temat – miłość.

Ks. J. Twardowski w telewizyjnym wywiadzie mówił kiedyś, że w miłości najtrudniej umniejszyć siebie samego, chociaż w człowieku, który naprawdę kocha budzi się pokora.

Dlatego chcę przywołać tę wyjątkową sentencję Wiesława Malickiego: „Tylko bogata miłość stać na to by zebrać” Wiesław Malicki sięga głębi, odrzuca pozorantwo. Przypomina

nam o tym co często ukrywamy w zakamarkach duszy.

*Z nie napisanego listu do Matki*

*Cóż z tego że cię wołam  
już nie wiesz kim jestem  
więc błędę w twoim świecie jak ubogi pielgrzym  
klękam z pokorą gładzę twoje ręce  
ptaki gotowe do odlotu*

*Czasem gdy żarliwie spalam się na popiół  
uśmiechem mnie ganisz lecz  
wybaczasz wszystko  
i myślę ciebie z Madonną Murilla  
a nigdy nie byłem aniołem*

(„Nim przed białą ścianą stanę zawstydzony”,  
*Gdy milczy stół*)

A oto wiersz do żony:

*Bez ciebie moja miłość żyłaby z kim się da  
wypruwała z siebie żyły dla połowy szczęścia  
może smak sutek byłby dla mnie mniej gorzki  
skóra mniej przeźroczysta*

*gdy jak embrion zwinęta  
zasypiasz u mego boku  
jesteś jak pomysł wiersza  
jak ostatni na drzewie liść*

*od progu twoich oczu  
boso przed ołtarz idę*

(„Bez ciebie moja miłość”, *Gdy milczy stół*)

Tylko samotność nie jest bohaterem wierszy Wiesława Malickiego. Zawsze jest z ludźmi, najbliższymi, nawet z tymi, którzy odeszli.

Nic nie powiedziałam o języku, a jest to też obszerny temat dla znawców przedmiotu. Ograniczę się więc do tego co mówi nam sam Autor w wierszu „Słowa”.

*Janinie Kościów*

*Mówią tu i ówdzie  
że więcej z nich szkód niż pożytku  
że są potrzebne próżniakom  
którym tylko myśli w głowie  
i nie jest nikomu obca  
słów niepoczytalność*

*Opinie przesadnie  
może lepiej zostać przy zwodzonych mostach  
przy sekwencjach uczuć  
nie granych w teatrach  
nawet przy popiołach  
po ostach milczenia*

*A może rację miała moja matka  
że szczególnie to gatunek  
drożdży*

(„Słowa”, *Lot nad przegraną*)

Poezja Wiesława Malickiego to paradygmat przeciwstawny pustce, którą lansują „profesorowie rozpaczy”. Możemy w niej odnaleźć Dobrego Przewodnika po „własnym labiryncie”. Nauczyciela miłości i nadziei.

TERESA NIETYKSA

## MNIJ WIĘCEJ (89)



## Wietrzna kobiecość

Barbara Janas-Dudek pojawiła się pośród braci poetyckiej w 2009 roku tomikiem *Oczy na uwięzi*. I szybko było jej coraz więcej – konkursy, publikacje w znanych pismach i portalach oraz współorganizowanie *Portu Poetyckiego Chorzów*, którego pomysłodawcą był Jacek Dudek (wtedy jeszcze nie będący mężem Basti) – imprezy która stała się lubianą oraz licznie odwiedzaną przez poetów. Potem weszła w krąg kaliskiej „Łyżki Mleka” i szczecińskiego Zaułka Wydawniczego „Pomyłka”, co najpierw zaowocowało arkuszem poetyckim *Alfabet Łęku*, a teraz książką wyjątkowo piękną i ciekawą, choć mroczną, pt. *Zakład pracy chronionej*. Tę książkę można uznać za przełomowe wydarzenie w dorobku tej poetki, które umocni i tak już dobrą o jej talencie opinii.

## LESZEK ŻULIŃSKI

Dosyć to opasły tom, liczący ponad 80 stron tekstu zasadniczego plus niemal 40 stron innych „didaskaliów”, o czym za chwilę. I, jak to w Zaułku, książka jest arcydziełem sztuki edytorskiej...

Ale po kolei... Tom otwiera monodram dziejący się w bliżej nieokreślonym „zakładzie”, który tak naprawdę symbolizuje traumę, alienację, ból i piętno „osobowości kobiecej” przez wieki „obsadzonej w rolach”, które ograniczały jej „radość egzystencjalną”. Teksty tego monodramu przeczytamy w dalszej części książki już jako samodzielne, lecz ułożone w misterny cykl wiersze. Ciekawy eksperyment autoinscenizacji własnej poezji, który pokazuje w kanonach innej ekspresji całe to sedno, o jakie chodziło Autorce, gdy „wymyśliła” sobie tę książkę. „Wymyśliła” to zresztą złe słowo; myślę, że Janas wyrwała z siebie wiele doświadczeń i przeżyć, opisała Los, jaki stał się i jej udziałem. Nie nazwałbym jednak ani monodramu, ani wierszy mianem „feministycznych”, gdyż nie idzie tu o socjologiczne prawdy, choć one gdzieś tam mają swoje echo. Janas poszła zdecydowanie w stronę psychoegzystencjalnych determinacji, jakby chciała opowiedzieć „kosmos płci” i wszelkie jego konstelacje, a nie społeczno-obyczajowe realia. Wracałem pod-

czas tej lektury do sławnej książki Simone de Beauvoir *Druga płeć* (wydanej w 1949 roku) i znajdowałem tu ciekawe zbieżności, choć oba utwory zupełnie różnią się od siebie swoim charakterem.

W krótkim acz znakomitym przedśłowiu do tomu Karol Samsel pisze: „*Zakład*” jest książką o kobietach, mówiąc precyzyjniej: o alegoriach kobiet. Więcej: o wykorzystywaniu kobiet przez alegorie. Ucieleśnienia w przypadku niniejszego zbioru są konieczne. Niejednym bowiem imieniem obdarzyła Janas-Dudek kobiecy głos mówiący swoich wierszy. „*Zakład pracy chronionej*” wypełniony jest nie tylko „kobietyzmami”, lecz także „kobiecościami”, zarówno „kobiecością”, jak i „kobiectwem”. Intymność, kinderyzm, emocje, patos i infantyl-na groteska. Niezwykle niejednoznaczny portret tego, co żeńskie przedkłada czytelnikowi poetka... I dalej Samsel stwierdza, że jest to portret kobiecy, alegoryczny, niezwykle antagonistyzujący psychologię kobiecego podmiotu.

Tak, też nie mam wątpliwości, że trzeba tę książkę czytać „alegorycznie”. Na to złożyły się całe wieki tych ról, uwikłań, doznań, reakcji, możliwych i niemożliwych uwarunkowań oraz wyborów, a Janas po prostu w sobie, jak w soczewce, umiała to wszystko skupić, przeżyć i pojąć. Zuniwersalizować, nawet jeśli wychodziła z osobistych doświadczeń.

Wiersze podzielone są na trzy „rozdziały”: *Matka*, *Uwodzicielka*, *Pacjentka*. I jest jeszcze część ostatnia – *Urzeczowienie*. Te rozdziałiki jakby wytyczają „drogę krzyżową” życia – od macierzyństwa, poprzez okres „bujnej” kobiecości do lat choroby i śmierci. *Urzeczowienie* to właśnie etap ostatni. Te tanatoidalne tony są w tym tomie chyba najbardziej przejmujące oraz wszystko, co zgłasza w tych wierszach nieuchronność końca stanowi najmocniejszy akcent takiej a nie innej wizji egzystencjalnej.



Barbara Janas-Dudek

Barbara Janas tą książką zdarła piękne tiule ze stereotypu „poezji kobiecej” i związanej z „kobiecością”. Zanegowała stereotypy erotyku, beztróskiego macierzyństwa, cudownego życia tańczącego na palcach kochanek, odalisek,

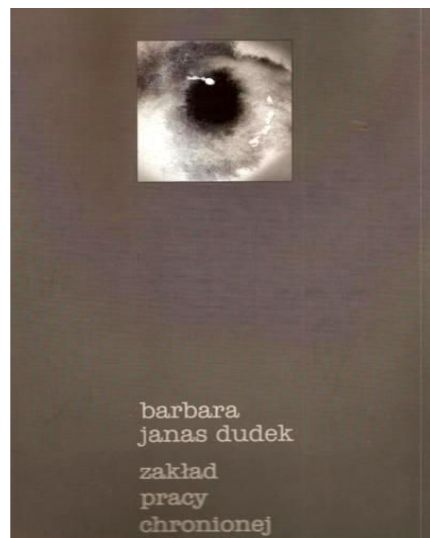
kobiet-wampów i wiecznych zalotnic, które nie mają powodu do refleksji nihilistycznej czy choćby beztróskiej. Fiasko rodzi się razem z nami, kimkolwiek jesteśmy, a cała ta maestria życia, wypełnionego po brzegi zajęciami i zdarzeniami, to tylko „zakład pracy chronionej”, który przed niczym nas nie ochroni.

Przypomniałem sobie to znane zdanie z *Fausta* Goethego: *Das Ewig-Weibliche zieht uns hinan* – to, co wiecznie kobiece, pociąga nas wzwyż... Tym razem nie; tym razem w dół. Janas demitologizuje tę stronę życia, która utkwiała w szablonie eudajmonizmu witalizmu. W tekście zamykającym cykl przeczytamy m.in. takie słowa: *niech cię nie zmyli jej dziewczęca niewinność. są psy o szklanych oczach, miękkiej sierści, które piją krew. nie zawiedzie uśmiech. śmieją się białe fale przypluwów podtapiając lądy. niech cię nie zmyli gładkość skóry. gładkie są góry lodowe i ostre w nich wnęki...*

*Vanitas vanitatum* – tylko tak mogę podsumować tę filozofię bez ułudy, tę rozpacz, nie dającą nadziei...

Jest to bez wątpienia dziełko nieszablono-we i napisane w przejmującym uniesieniu. Myślę, że Autorka otworzyła nowy rozdział poetyckiego języka i rozumowania. W tym siła i waga tej książki.

Szlachetnie wydanej! Papier o lekkim odcieniu ecru ilustrowany jest czarnymi i szarymi sztychami Macieja Woltmana i ostatnia część książki zawiera prezentację jego prac. Cezary Sikorski, wydawca, celnie zauważa w swoim komentarzu tu zamieszczonym, że w tym malarstwie głównym problemem jest nieadekwatność egzystencji. *Woltman rozchodzi się z prostotą życia jako życia, przymierza się do życia jako procesu umierania. Maluje oddzielanie. W innym miejscu znajdziemy uwagę, że oboje artystów dzieli ciekawa antynomia: Poetka wkracza w swoich wierszach w sferę podświadomości, w obszar wspomnień z dzieciństwa, zaś Woltman sięgał w swych ilustracjach do starych rysunków i własnych przemyśleń. Z tego zderzenia powstała aura niezwykła.*



Barbara Janas-Dudek, „Zakład pracy chronionej”. Zaułek Wydawniczy „Pomyłka”, Szczecin 2012, s. 120.

## Christian Medardus Manteuffel

### ...wiatr zawraca

...wiatr znów zawraca,  
stoją jeszcze drzewce dawnych chorągwi,  
wiatr strzepuje z nich nierozpoznawalne  
barwy  
i wyblakłe hasła.

Media podają sensacyjne  
wiadomości o dinozaurach  
wychodzących z kamiennych tablic.

Pierwszy człowiek szuka samicy,  
własne żebro okleja gliną,  
pożądanie wodzi jego dłonie  
wydobytą z tworzywa kształty,  
które wyglądają językiem.

Wiatr pędzi chmury,  
spłoszone trą się skrapiając ziemię,  
po zboczach niesie się krzyk orgazmu  
i glina staje się brzemienią.

Samiec krwawi ciągle z rozdartego boku,  
czerwienieje zbocze góry,  
czerwienieje brzeg i odpływająca fala,  
oko wulkanu,  
płonący las  
i usta kobiety.

### ...delectatio morosa

*wiele lat potem*

...zdawało mi się, że znaki dostrzegam,  
lecz mój przyjaciel powiedział, że ja  
umarłem,  
nie ma mnie wcale; więc co ja właściwie  
dostrzegam?  
To, czego nie stworzył, czego już nie potrafi,  
to, czego nie ma, w co ja tylko wierzę.

A ja widziałem światło próchną nocą;  
*delectatio morosa*, uparte wnikanie  
w strefy umarłe, *niegdyś powagą i grozą*  
*plamienną*

– o gdybym ja potrafił opisać te ognie,  
te strefy zakazane, do drzewca gołego  
przywiązać idee sierpniowych pochodów,  
ze szczeliny bruku wygrzebać ostatnie  
słowo wyszeptane, gorętsze od kuli  
stygnej pod sercem.

Gdybym na cmentarzach mógł udźwignąć  
płyty,  
czytać z ich rewersów, może bym utracił  
wiarę, że ta jasność, to coś ponad światło  
próchną nocą,  
i że ma to znaczenie dla kogoś jeszcze,  
nie tylko dla wiatru.

Gdybym uwierzył, że wystarczy zdmuchnąć,  
co czas już wypalił, musiałbym też uwierzyć,  
że dla tego płomienia  
nie warto było  
być nieposłusznym Bogu,  
na pysk padać

a było...

### ...góra rodzi rzekę

...nakazał górze, aby wydała rzekę;  
poczuła dotyk jego palca.

Wtedy stał się ranek  
i w brzasku nieba góra rodzi rzekę;  
jest bezimienna, jak świat,  
do którego bieży,  
i jak losy, którym będzie świadczyć;  
rzeka nazywa skałę, skałą,  
poznaje radość, jaką daje  
spływ kaskadami i wolność;  
gdy wpłynie w dolinę,  
nazwie ją doliną.

Nie dostrzega czasu,  
lecz czuje przemijanie,  
które nazwie życiem.

O zmierzchu słońce  
wchodzi do rzeki,  
jak purpurowy sen,  
nad brzeg nadchodzi wiatr  
kający znój dnia...

To tylko pierwsze doznania,  
nic więcej.

Gdy gaśnie niebo, szum rzeki  
staje się senny  
i będzie tak do zarania,  
gdy rzeka odnajdzie pierwszy kształt  
złamanej gałęzi  
niesionej nurtem,  
czerwień przelanej krwi  
pierwszego zabitego człowieka,  
i słoność łez  
pierwszej człowieczej matki.

## Magdalena Cybulska

### Alzheimer

Rozpoczęła się wyprawdzka. Pierwszego dnia  
wynieśli z  
niego łóżko z poduszkami. Służyło mu wiernie  
przez wiele  
lat jak pies. Drugiego dnia krzesła i stół  
opuszczyły jego ciało.  
Był bezbronny. Nie mógł krzyknąć. Wszystko  
działo się bez  
jego czynnego udziału. Trzeciego dnia zabrali  
szafę, pełną

garniturów, koszul i skarpet. Przecież te rzeczy  
nie będą już  
na nikogo pasować. Czwartego dnia zniknął  
czajnik z pieca.  
Próbował uratować przed zagładą szklankę.  
Lecz ta uciekła  
mu z dłoni. Bała się samotności. Piątego dnia  
zniknęło zdjęcie  
stojące na kredensie. Potem i sam kredens  
stracił rysy twarzy  
On był wreszcie pusty po same brzegi. Nie  
poznawał nawet podłogi  
pod stopami. A czy te stopy na pewno do  
niego należały?  
Skurczył się, zmałał. Jak papierek po cukierku.  
Szykował się do odlotu.

### Broniewski

Gdzie byłbyś teraz gdyby Anka wtedy nie  
umarła. Pewnie  
drzewa w Twoim świecie wyglądałyby inaczej.  
Zapewne  
wiosna przychodziłaby o wiele wcześniej.  
Niebo by wisiało  
nad Twoją głową idealnie błękitne, bez jednej  
zmarszczki. Chyba  
siedziałbyś w fotelu patrząc w przeszłość ze  
spokojem a w przyszłość  
z nadzieją. Tak, świat byłby inny jakby ona nie  
odeszła z gałązką  
macierzanki w dłoni. Słowa miałyby dziś inny  
kształt. Ale właściwie  
jaki? Nie potrafię sobie tego wyobrazić.

\* \* \*

Lubię patrzeć w oczy starych domów.  
Wygląda przez nie dusza. Cała  
rodzina wytlukła się jak szklanki w kredensie.  
Pozostały tylko białe  
firanki. Jakby chcieli powiedzieć, zaraz  
wrócimy, bądźcie cierpliwi.  
Ale przecież oni nie mają przy czym usiąść, nie  
mają gdzie zagotować  
wody na herbatę. Twarz garnka pokryła się  
zmarszczkami rdzy. Oswojony  
nóż już nie odpoczywa po śniadaniu, nie  
pogłaszcza go po ostrej krawędzi.  
Tutaj dawniej gdy obrus już nie mógł być  
obrusem stawał się prześcieradłem.  
Kiedy i tej funkcji nie spełniał należycie  
przybierał ciało serwetki pod wazonikiem  
a potem ściereczki do wycierania kurzu. Jego  
życie zatem było bardzo długie.  
Dłuższe czasem niż życie ludzi. Słyszysz,  
wspomnienia brzęczą głodne jak  
muchy. Nie wracajcie. Zostańcie tam gdzie  
jesteście. Bo nigdy nie zaznacnie spokoju.  
Wasi bogowie też przecież odeszli. Z ostatnią  
butelką babcinej nalewki. Pewnie teraz  
są pijani.

## Małgorzata Południak

### żeby nie zabić

dotarłam do końca

piszę listy do życia  
o obciętych piersiach  
które oplakiwaliśmy jedną w dzień  
drugą leżała z kielbasą

śmieszne to było  
dlatego przestaliśmy rozbierać się

spojrzeniami

Malina wchodził w kąt zniecierpliwiony  
bez wstrętu do blizn

doskonale trafienia  
wchłaniały bez udawania

ostatni rok  
*wte i wewte*  
ciemno  
butelkami po piwie  
mogę zatrzeć ślady

chciałabym aby krzyczał  
nieustannie żartując

### intymność

Malina i dwaj pielęgniarze  
nie mogą unieść obciętych piersi  
na co im była medycyna  
gdy palce wystają przez dziury

patrzmy na siebie  
wszystko co zostawiliśmy  
wymyślone i nie musisz spuszczać rolet

w głowie  
skurcze wypływają na pościel zanim  
Malina zdąży

przeciera czoło  
w zmęczone stopy  
wkładam koszulę  
nocną

### chemia

dzikie koty znoszą ślimaki zamiast myszy  
widziałas rozlażle portrety na ścianach

pokoje wciąż pachną tak samo  
śpiącymi koszulami przecieram okna

to nieprawda że umysłowo chorzy  
pod aloesami w bibliotekach  
kurują się w miskach przeznaczonych  
do wylęgu młodych

codziennie podobnie klnę  
w kartonach letnie sukienki  
ślubna pościel przysypana ziemią  
czeka

znoszę jajka i na wszelkie sposoby  
sałata rośnie gdzie popadnie  
w miejscu piersi nie mam już  
pociechy

### pomieszanie

wystarczy że stoimy na ulicy  
pod latarnią rozjaśnia się  
w tych okolicznościach

skomplikowane

chłopcy są miłsi a kobieta poprawia stanik  
– precyzyjnie narysowany kontur ust  
pudrem obsypuje obrączki po spacerze  
zrobisz z nią wszystko

przyjrzyj się sobie za kilka lat  
w pustej szklance gad nie może oderwać się  
od dna

rozlażle majtki wyszły z mody  
twarz wygląda szaro

rozchylone ramiona wystawiasz do wiatru  
który zniknie  
ale na zapas można odłożyć cukier  
i herbatę z Indii

## Elżbieta Gałęzewska- Kraśnińska

### samotność

w zapachu wilgotnego cienia  
czas zgęstniał  
dąb drogowskazem  
na setki lat  
filar pooranej kory  
po części zmurszałej  
w oczodołach odłamanych  
od czasów konarów  
zapisana pamięć ptasiego puchu  
ciężar gniazd  
coraz więcej bruzd  
narośli pomarszczonych  
wokół pustego spojrzenia  
paraliżem wykręcone  
kikuty trwają

w rachitycznej pozie  
czepiając się młodych  
wyższych drzew zaskakujących  
różnymi językami zieleni

jak w odbiciu lustra  
tyle korony w błękitcie  
ile korony pod taflą ziemi  
dźwiga dwa królestwa  
godzi dwa żywioły

### jadąc do Brenna

ulica Plażowa skacząc przez mostek  
nad leniwym kanałem  
żabiego zawieszenia sklejonego rzęsą  
i dalej jaszczurką ucieka w popłochu  
między pola i kępy drzew  
gubiąc przestrzeń jeziora

za zakrętem wiatrak  
podniesionymi wysoko ramionami  
zaprasza do Brenna  
czekając na swojego Don Kichota

### od środka

tak kurczy się we mnie cierpliwość do ciebie,  
Ziemio, jak usypana sterta śniegu na  
chodniku.  
z jeszcze białego puchu wyciekają strugi  
błota.  
materializują się moje skargi.

od środka znikam. w resztkach zimy  
sterczą rekwiizyty banału: zdeptany karton  
po soku,  
poszarpana reklamówka, psie kupy.  
skąd we mnie tyle obcych myśli?

### światy równoległe

twoje i moje widzenie  
kwestią czasu  
za kilkadziesiąt lat  
też będziesz zauważał  
zabite gołębie na asfalcie  
i prosił Boga  
by mogły się wzbić  
ostatnim uderzeniem skrzydeł

twoje i moje widzenie  
kwestią czasu  
już jutro  
też będziesz zauważał  
billboardy z przyklejonym  
żywym jeszcze ciałem człowieka  
po przecenie

JAROSŁAW STEJSKAŁ

# Profesor ortopeda z Zelowa

Od Rynku w Zelowie biegnie długa ulica w kierunku Zelówka. Kilińskiego 103, to ostatni numer zabudowań Zelowa, a więc jak na małe miasteczko, to długa ulica. Dalej prowadzi droga przez Zelówek na Bocianichę z rozwidleniem w kierunku Kociszewa. Mieszkałem przy ulicy Kilińskiego 103, więc wiem, jak daleko było stamtąd do szkoły i kościoła. Za tym ostatnim domem Zelowa, rozciągała się przestrzeń niezabudowana, popularnie zwana Strugą. Pośrodku Strugi znajdował się drenowy przepust wodny. Woda płynąca rowem, z lewej strony przedostawała się przepustem na prawą stronę drogi. Za Strugą pierwsze zabudowania należały do rodziny Kąteckich, Jersaka, a dalej Mundziła, Kimra, Stejskałów, aż hen, pod Bocianichę, to jedna osada – Zelówek. Tak naprawdę była to jedna, na trzy kilometry długa ulica. Mieszkała tam właściwie jedna wielka rodzina, spokrewniona po wielu latach życia obok siebie. Wszyscy się znali, wszyscy sobie pomagali, a i czasem sobie wymyślali. Takie normalne sąsiedzkie życie. Ilu mieszkańców liczyła osada, tego nikt nie pamięta, ale jak podaje Pan Teofil Ransz, a to solidna i zająca, osoba, było tam ponad sześćdziesiąt gospodarstw wiejskich. Pan Ransz na wspomnienie o Zelowie łyż z oczu ociera, a zna tam każdy kamień, o każdej rodzinie zdoła opowiedzieć coś ciekawego. Każdego też roku, śladami lat młodości, przemierza cały Zelówek. Płyną opowieści, dawnych lat wspomnienia. Po lewej stronie drogi, w około jednej trzeciej całej długości osady, mieścił się Dom Modlitewny Czeskich Braci, zamieszkujących osadę Zelówek. Za wyjątkiem jednej, albo dwóch rodzin polskich, cała ludność osady miała czeskie pochodzenie. W zasadzie to tylko językiem czeskim posługiwali się mieszkańcy tej miejscowości. Język polski znany był tylko tym, co uczęszczali do polskiej szkoły. Dom Modlitewny był centrum życia religijnego i kulturalnego osady. Tylko na nabożeństwa niedzielne i świąteczne mieszkańcy osady udawali się do Kościoła w Zelowie.

W Domu Modlitewnym odbywały się nabożeństwa popołudniowe (nieszpory), lekcje religii i szkółka niedzielna dla dzieci, lekcje chóru, spotkania towarzyskie i okolicznościowe.

Dość daleko od centrum Zelówka, bliżej już Bocianichy, po prawej stronie drogi, stało zabudowanie rodziny Józefa Kulhawego. Drewniany domek, oddalony od drogi, jakby przykucał wśród osady. Z niewielkich okien jednej strony domu była widoczna droga w kierunku osady, a z drugiej strony rozciągał się widok na podwórko, z niewielkim przyległym sadem. W sadzie tym pan Józef z pasją szczepił drzewka, otulał przed mrozami i dumny był z każdej nowej odmiany. Za sadem, a dalej za

polami, widoczne były zelowskie lasy, należące do właścicieli tutejszej osady. Tuż za skrajem lasów, nie tak daleko od zabudowań Józefa Kulhawego, rozciągała się piękna polana, zwana przez mieszkańców – „Zelenym paloućkem”, a nieco dalej inna „Długa polana”.

Na wspomnienie o Zielonej polanie, takie może być jej tłumaczenie, dawni mieszkańcy Zelówka, łyż tłumią i wracają im młodzieńcze wspomnienia. W niedzielne popołudnia odbywały się tam spotkania młodzieży, pogawędki i konkursy sportowe. Zespół mandolinistów grał i śpiewał, i było przyjaźnie, radośnie, i wesoło. Zdjęcia koleżanek w sukienkach z żabotami, a chłopców w bryczesach na rowerach, tkwią na honorowych miejscach w rodzinnych albumach.

Pan Józef był szczupły i rezolutny, z humorem i gościnnością witał każdego w progu domu. W mieszkaniu pod oknem, od południowej strony, stał niewielki stolik, z kształtymi owalnymi nogami, a obok typowe drewniane krzesła. Na stoliku zwykle leżała otwarta Biblia z wieloma zakładkami, kilka śpiewników i wiele stron papieru z nutami. Nad stołem, na honorowym miejscu, wisały skrzypce, skarb największy Pana Kulhawego. Ponieważ miałem u pana Józefa dość duże „fory”, to mogłem instrument potrzymać w dłoni, ale dotykać strun, a tym bardziej wytrzeć pyłek kalafonii na płycie rezonansowej, nie śmiałem. Podobno taki pyłek ma wyjątkowe znaczenie. Pan Kulhawy był bardzo skupiony, gdy skrzypce stroił, a robił to zawsze, ilekroć brał instrument w dłonie. Mogłem delikatnie pociągnąć smyczkiem przez wszystkie struny. Pan Kulhawy grał na skrzypcach z dużą lekkością, podstrajał struny, spoglądał w nuty, robił jakieś znaki lub też pisał nuty. Niejednokrotnie cicho oglądałem te ruchy i próbowałem odczytać głębię muzyki. Od tamtej pory byłem zafascynowany grą na skrzypcach, choć sam nie miałem zdolności muzycznych. Nie posiadałem umiejętności matuli, która na każdym nawet nieznanym jej wcześniej instrumencie strunowym lub klawiszowym, po chwili prób, potrafiła wydobyc z niego melodyjne dźwięki.

Pan Kulhawy, każdej soboty, ze skrzypcami w rękę, wędrował na lekcje do Domu Modlitewnego, pełniąc zaszczytną rolę nauczyciela i dyrygenta miejscowego chóru. Duże zdolności muzyczne tutejszej ludności wymagały od przewodnika chóru wielkiego autorytetu, aby wygryzł od zespołu własną wizję wykonywanego utworu. Umiejętności grania na instrumentach i śpiewu przez ludzi Zelówka były wzbogacane przez naukę czytania nut, prowadzoną między innymi przez Józefa Kulhawego.

Pan Kulhawy był samoukiem, nie kończył żadnej szkoły muzycznej, ale był zdolny i bar-

dzo pracowity. Prowadzenie takich lekcji wymagało od nauczyciela zarówno przygotowania pieśni na niedzielne, a zwłaszcza świąteczne nabożeństwa. Z tym związane było często rozpisywanie nut, z przystosowaniem do możliwości wokalnych zespołu. Z dużą odpowiedzialnością przyjmował na siebie obowiązki i skrzętnie przygotowywał się do lekcji nauki chóru. Często było można zobaczyć jak Pan Józef trzyma jedną ręką skrzypce, a drugą dokonuje zapisów na rozłożonym na stole arkuszu nutowym. To dzięki wkładowi nauki czytania nut i inspirowania pasji muzyki, wielu młodych ludzi przepisywało na pięcioliniach melodie ulubionych pieśni. Szczególnie w letnie wieczory, przy otwartych oknach, słychać było śpiew tkaczy, przy ich krosnach. Mieszkańcy Zelówka byli rolnikami, ale większość z nich nie posiadała takiej ilości ziemi, która zapewniałaby względne warunki funkcjonowania. Dodatkowo tkali na ręcznych krosnach, na zlecenia fabrykantów z pobliskiego Zelowa. Rodzina Józefa Kulhawego, podobnie jak inni mieszkańcy Zelówka, zajmował się rolnictwem, ale Pan Józef był pasjonatem muzyki i każdą wolną chwilę poświęcał tej pięknej sztuce.

Pan Józef Kulhawy miał wyjątkowe zdolności manualne, a każde zadanie, którego się podjął, starał się wykonać rzetelnie, z największym kunsztem umiejętności. Pan Józef posiadał wiele talentów, talenty te doskonalił i służył innym tymi darami. Mógł się pochwalić nie tylko zdolnościami muzycznymi, ale posiadał także wyjątkowo duże zdolności ortopedyczne. Nie wiadomo, gdzie Pan Kulhawy nabył wiedzę budowy kostnej kończyn, ścięgien i mięśni, zarówno zwierząt domowych jak i ludzi. Dziś już nie dowiemy się, czy wiedzę taką sam osiągnął, czy też doświadczenia przekazał mu ktoś z rodziny, a on je tylko doskonalił. Faktem jest, że w całej okolicy jeśli koń, albo inne zwierzę domowe złamało nogę, co było częstszym przypadkiem, to Pan Kulhawy był niezastąpiony. Robił to z dużym zadowoleniem i satysfakcją, że służy tym dobrze mieszkańcom. Choć nie tak bardzo chętnie, biorąc na siebie dużą odpowiedzialność, to jednak nie potrafił odmówić, gdy człowiek potrzebował pomocy. Nasza mama wspominała, jak idąc po drodze była czymś zafascynowana, wpadła w dziurę i złamała nogę. Była jeszcze wtedy młodą dziewczyną i bez żadnych wątpliwości w skuteczność wyleczenia, zawieźli ją na taczce do szwagra Józefa. Ania, najstarsza siostra mamy, wyjątkowo spokojna i zrównoważona, była żoną Józefa. Ciocia Ania była miłą osobą i bardzo się zawsze cieszyła na moje przyjście. Nie była podobna do pozostałych z rodzeństwa, którzy byli porywczego charakteru.

Wracając do Pana Kulhawego, to był on jedynym w całej okolicy, za wyjątkiem felczera



Zihlke, który mógł udzielić medycznej pomocy. Szwagier Kulhawego obejrzał nogę Amalki, głową kręcił, po czym zawyrokował – „niestety noga złamana”. Mieszkanie krokami przemierzał, wreszcie przyniósł łupki, które zawsze zimą strugał i zabrał się do składania kości. „Nie wiem, czy się uda, kość feralnie złamana” – nogę okręcał, przyciągał, układał, nim usztynił łupkami. Gdy wiosna nastąpiła Amalka zdrowa biegła po łące. Śladu złamania żadnego nie było, tylko w wieku starszym, gdy ślota się zbliżała, to powtarzała – to ta noga była złamana.

Był inny przypadek, który ja także pamiętam. Brat mamy, Karol, był przystojnym i silnym mężczyzną, ale porywczym w swych czynach.

W okresie żniw zwoził kopki żyta wozem drabiniastym, zaprzężonym w dwa konie. Wóz był załadowany wysoko zbożem, więc z góry Karol nie widział dobrze drogi. Wjeżdżając z drogi pod zabudowania, jedno koło wpadło w przejeździe do rowu. Rów odwadniający wiódł wzdłuż całej drogi. Oczywiście spora część zboża zleciała na ziemię wraz z wujem Karolem. „Cholera, cholera” – wuj przeklinał i konia batem poganiał, aby z rowu wytoczyć koła. Szkapina spłoszona, pracą zwózki zmęczona, nie mogła podoląć krzykiem woźnicy. Wreszcie domownicy jakoś sobie poradzili, zboże zdjęli i naprawili koło. Wieczorem pan Karol poszedł do stajni z wiązką siana, koń pamiętał gospodarza bat i krzyki. Gdy gospodarz tylko się zbliżył, koń go kopnął z całej siły. Krzyk o ratunek usłyszeli domownicy i nieszczęśliwego gospodarza oczywiście zawieźli do pana Józefa. Karol przez całą drogę z bólu przeklinał – co teraz będzie z robotą w polu, kto teraz wszystkiemu podola? Kulhawego, gdy całą historię usłyszał, najpierw zadzwonił – „widzisz nerwusie, to była twoja wina, kto to bije konia! Teraz spotkała cię kara! Koń to także czuła i mądra zwierzyna, najpierw trzeba pomyśleć, czy koń podola”.

– Józefie, Józefie skończ to kazanie, bo dłużej nie wytrzymam!

Józef już dalej zdarzenia nie komentował, każde żebro Karola diagnozował. Masz szczęście – po dłuższej chwili powiedział. Kręgosłup cały, tylko trzy żebra pęknięte na boku. Zaraz to zabezpieczymy, ale o pracy w polu nie myśl Karolu. Kiedy już tułów został obandażowany i wysłuchano porad Józefa, zaczęto pytać o córkę, która wyjechała do Czech na Morawy. Wyjechała tam ukradkiem, w czasie okupacji, w obawie przed wywiezieniem do Niemiec, do prac przymusowych. Właśnie ojciec przygotował paczkę z najpotrzebniejszymi rzeczami. Więcej nie pytali, choć wiedzieli, że każde wysłanie paczki jest kontrolowane, a nawet zakazane. Po zakończeniu wojny ciekawa ta sprawa się wyjaśniła. Kulhawego, był znany przez mieszkańców Zelowa jak i dalszych miejscowości, z umiejętności leczenia skomplikowanych złamań kończyn Władze niemieckie zakazały Panu Kulhawemu wszelkich praktyk medycznych. Pan Józef, mimo zakazu, nie potrafił odmówić choremu i ukradkiem udzielał po-

mocy. Pewnego dnia, mroźnej zimy, przybiegł z odległej wioski splakany chłopiec, z ręką na temblaku.

– Niech Pan mi pomoże, spadłem z drabiny, kiedy zawieszałem karmnik dla ptaków. Wiem co to głód, więc chciałem pomóc biednym ptakom. U nas w domu dzieci czworo, nie ma taty, a ja zamiast pomóc, mam rękę pewno złamaną! – kto przyniesie chrustu z lasu? – przez lzy zwierzała się dziewczyna.

Pan Kulhawego rękę nastawił, otarł lzy z twarzy chłopczyka, a Ania, żona Józefa, w węzełek związała kawałek słoninki i chleba, który upiekła w sabatniku minionej soboty. Niedozżywczone dzieci często ulegały złamaniom lub zwichnięciom kończyn. Ileż to razy niepozorny, drobnej budowy, ale czuły na ludzkie troski „chirurg” z Zelowa przemierzał pieszo lub na rowerze do odległych wsi, aby nieść pomoc nieszczęśliwym ludziom. Po złożeniu złamanej kończyny odwiedzał rekonwalescentów, aby sprawdzić prawidłowość zrastania kości. Wielokrotnie, nie tylko niósł pomoc biednym i schorowanym dzieciom, ale wspierał ich drobnymi datkami. Pan Kulhawego nie brał żadnych wynagrodzeń za udzieloną pomoc. Wspaniała umiejętność leczenia złamanych kończyn, była w jego mniemaniu darem Bożym, i jak sam twierdził, miał obowiązek dzielenia się tym darem z innymi.

Szczególny przypadek zdarzył się wkrótce po otrzymaniu zakazu od władz niemieckich wykonywania praktyk medycznych. Nie zastosowanie się do poleceń okupantów groziło surowymi sankcjami.

W Poźdżenicach, w wiosce odległej od Zelowa około pięciu, a może więcej kilometrów, córka niemieckiego policjanta złamała rękę, i to bardzo pechowo. Było to podwójne złamanie z przesunięciami. Miejscowy lekarz jak i lekarz w większym mieście, w Pabianicach, nie widzieli możliwości przywrócenia ręki do pełnej sprawności fizycznej. Tenże policjant, nie bacząc na zakazy, przyjechał z odległej osady do osoby, która nie tylko nie była pochodzenia niemieckiego, ale także nie miała żadnych uprawnień medycznych. Zatraskany Niemiec szukał ratunku dla swojej córki u skromnego czeskiego rolnika. Niepozorny domownik z przykrością stwierdził – mam zakaz udzielania wszelkiej pomocy – oto tutaj jest rozporządzenie komendanta policji. Policjant wyrwał rozporządzenie, porozrywał papier na strzępy i usilnie prosił o pomoc dla swojej córki. Roztargniony Kulhawego wsiał na rower i razem odjechali do odległych Poźdżenic, ku zdziwieniu wyglądających przez okno sąsiadów. Złamanie kończyny jest paskudne, ale wszystko w rękach Boga – jak to mówił wielce szanowny pan Kulhawego.

Umiejętnie złożył kosteczki złamanej ręki i założył swoje usztyniające łupki. Jeszcze wiele razy przyjeżdżał do chorej, aby sprawdzić prawidłowość zrastania kości. Policjant w zamian wymógł na komendancie cofnięcia zakazu wykonywania praktyk. Przynajmniej nie robiono przykrości z powodu udzielania

pomocy mieszkańcom Zelówka. Tenże Niemiec nie przestrzegał regulaminu policji i wbrew zakazom, pomagał Czechowi wysłać paczki do córki, za którą tak bardzo tęsknił. Marta, młodsza córka Pana Kulhawego, wspominając niniejsze uwikłane okoliczności, przytaczała słowa – „Niezbadane są drogi Boskie”. Była osobą bardzo subtelną, o łagodnym spojrzeniu, odziedziczyła po ojcu umiłowanie każdego dnia, a po mamie skromność i łagodność wypowiadania. Moja żona, która pierwszy raz ją zobaczyła, potwierdziła – Marta emituje taką subtelnością. W czasie rozmowy, Marta przytaczała wiele interesujących zdarzeń z ich rodzinnego domu. Szczególnie radośnie opowiadała o pomocy udzielonej przez ojca, córce zamożnego właściciela z Łobudzie, miejscowości położonej za Zelowem.

Interesujące jest to, że przed wielu laty, osadnicy Bracia Czescy, po przybyciu do Zelowa, gdy jeszcze nie mieli własnego Kościoła, zawierali związki małżeńskie w Kościele katolickim w pobliskim Buczku lub Łobudzie. Krótce przed rozpoczęciem drugiej wojny światowej, córka wspomnianego właściciela, z przyczyn bliżej nieznanych, uległa poważnemu wypadkowi. Połamana w wielu miejscach noga, z przesunięciami kości, nie rokowała żadnej nadziei na wyleczenie, bez znaczącego kalectwa. Sporo kosztowało ojca poszukiwanie ratunku u lekarzy, nie tylko miejscowych, ale także wizyty w miejskich szpitalach Piotrkowa, czy też Pabianic. Ostatnia nadzieja pozostała w rękach pan Kulhawego, o którym dowiedział się od tamtejszych lekarzy. Bryka zaprzężona w dwa konie podjechała pod dom Pana Kulhawego. Wywołało to oczywiście duże zaniepokojenie i zdumienie sąsiadów. Któż to przyjechał w odwiedziny do Pana Kulhawego? – pytali sąsiedzi. Ojciec chorego dziecka, stojąc przed skromną osobą przytulonym łzami głosem wykrztusił: „oddam wszystkie pieniądze, proszę o udzielenie mojej córce pomocy”. Pan Kulhawego nie potrafił nikomu odmówić pomocy i choć miał dużo zajęć w domu, założył ciepłe odzienie, wziął łupki pod pachę i jeszcze jakieś przybory, i z wrodzoną werwą wskoczył do bryki. Woźnica pędził jak szalony, byle jak najszybciej usłyszeć słowa nadziei od „zelowskiego chirurga-ortopedy”.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy gospodarz zjechał pod próg domu. Trzynastoletnia dziewczynka, szczupła, delikatna, o łagodnym spojrzeniu, jakby niebiosy o pomoc prosiła, bezwładnie okaleczoną nóżkę powierzała w ręce Opatrzności. Przy Boskiej pomocy, jak mówił pan Kulhawego, z największymi sobie tylko znanymi umiejętnościami, kosteczki nóżki dziewczynki poukładał, łupkami usztynił, główkę pogłaskał, aż wreszcie osuszył rękoma zroszone czoło. Na pożegnanie z wrodzoną skromnością powiedział – „nie martw się córeczko, jeszcze na Twoim weselu poleczkę razem zatańczymy.” Do późnej nocy żona, z przygaszoną lampą naftową, na męża

(Dokończenie na stronie 10)

## Profesor ortopeda z Zelowa

(Dokończenie ze strony 9)

czekała, nim bryka zaterkotała pod domem. Pan Kulhawy był bardzo zmęczony, ale przy tym szczęśliwy, bo już wiedział, że dziewczynce uratował nóżkę. Jeszcze wiele razy Pan Kulhawy dziewczynkę w Łobudzicach odwiedzał, doglądał zrastania kostek, zabezpieczał przed powikłaniami. Przyszedł okres wojny, a potem przerwana została łączność między dziewczynką a jej opiekunem. Wyjątkowym sercem i uczuciem otaczał dziewczynkę. Nieobecność swojej córki, może w ten sposób chciał pocieszyć. Ukochana córka pracowała w polu w odległych Czechach, na myśl, o której panu Józefowi kręciła się łza w oku. Córka zachorowała, nieotoczona opieką zmarła na obczyźnie, z dala od rodzinnego domu. Na nic się zdały ciche błagania pomocy, takie już było zrządzenie losu.

Po zakończeniu wojny, pan Kulhawy wraz z rodziną, podobnie jak prawie wszyscy mieszkańcy Zelówka, wyjechał do Czechosłowacji. Zamieszkał w miejscowości Tepla, niedaleko Mariánských Lázní. Początkowo mieszkał w wiosce Pvkowice – przez kilka lat gospodarzył, ale skromne siły i ciężka praca nadwerżyły zdrowie chirurga z Zelowa. Tam też snuł wspomnienia o Zelówku, o Polsce, o przygodach z lat młodości. Małe radio stało na półce z haftowaną serwetką i choć skrzypiało, on nadstawiał ucho i o dwunastej w południe słuchał hejnału z Wieży Mariackiej. Lubił opowiadać o żołnierce i przy tym tak zaczynał: „Jak służyłem na Helu...”.

W tej dalekiej, małej miejscowości, ukrytej wśród wzgórz, niespodziewanie odwiedziła „profesora” smukła i radosna dziewczyna. Od progu zawołała: „– Zgodnie z obietnicą daną przed laty, zapraszam na wesele najznakomitszego profesora ortopedę, Pana Kulhawego! Pierwszy taniec do Pana należy!” – radośnie swojego opiekuna witała.

– Niestety, już nie te lata, moja dziewczynko ukochana, ale rad jestem i nagroda jest moja cała, że tutaj, na „krańcu świata”, obietnica została dochowana.

Zatańczyli polkę na „deskach mieszkania” i z ojcowskim błogosławieństwem odjechała skromna i szczęśliwa...

Pan Kulhawy otrzymał zaproszenie z miejskiego szpitala w Mariánských Lázních na konsultację, bo i tam wieść o jego umiejętnościach dotarła, lecz już schorowany nie podjął się współpracy.

Pan Józef, mieszkając jeszcze w Zelowie, podziwiał instrument muzyczny, fisharmonię i pragnieniem jego było, aby na takim instrumencie grać dowoli w każdej chwili. Instrumentem takim zachwycał się podczas

nabożeństw w Sali Zborowej Kościoła w Zelowie. Ten instrument ma duszę, jak mówił Pan Kulhawy. Kochał skrzypce, gra na nich dorównywał wirtuozowi, ale powtarzał, fisharmonia to instrument wyjątkowy. Ze swoich marzeń zwierzył się lutnikowi, który odwiedzał ich dom, a był z nim zaprzyjaźniony. Pewnego dnia „wpadł” znajomy lutnik – wiem, gdzie jest fisharmonia, oddadzą ją w dobre ręce temu, kto ten instrument doceni. Następnego dnia obaj pojechali do Karlowych Warów i już wieczorem grali na fisharmonii w domu Kulhawego. Teraz już na tym instrumencie grał dowoli ile chciał i kiedy chciał. Umiejętne wykorzystanie możliwości instrumentu, przez dobór manuałów i siły pracy miechów pozwalało grającemu Józefowi wydobyć taką barwę i siłę dźwięku, która odzwierciedlała głębię utworu tkwiącą w wyobraźni i nastroju. Spod delikatnych rąk na klawiaturze wydobywały się dźwięki, które uosabiały serce i duszę muzyka.

Od czasu, kiedy spracowane dłonie Józefa odtwarzały ostatnie akordy. Minęło ponad czterdzieści lat, a fisharmonia stoi po dzień dzisiejszy na honorowym miejscu w jego dawnym pokoju. Wnuczka, która dziadka z rozrzewnieniem wspomina, gdy tylko ma wolny czas, odwiedza dom rodzinny mamy, aby choć przez chwilę zagrać na wysłużonym instrumencie. Chwila gry na fisharmonii przywraca pamięć o tym wspałym człowieku.

JAROSŁAW STEJSKAŁ



## Wędrowka pod znakiem psiej gwiazdy

*„Aż z męczarń doliny  
Krzyż jeden, jedyny  
Ziemskich wieków wstanie:  
W piersiach nam, o Panie,  
Twoje strzały tkwią!  
My piekielni,  
Pókiśmy rozdzielni –  
Ale biedni,  
Gdyśmy w jedni;  
Twąśmy krwią,  
Twym obrazem!  
Miej, o Panie,  
Zmiłowanie –  
Już my razem!” –*

Zygmunt Krasiński (z „Psalmu żalu”)

Na początku grudnia 2006 roku znalazłem się w małej odciętej od świata wiosce cypryjskiej wśród gór, gdzie w narożnej części

rynku, bliżej nawet od strzelistego minaretu niż od kopuły świątyni greko-katolickiej, wystawiono naturalnej wielkości figury postaci i zwierząt otaczających żłobek z Dzieciątkiem Jezus. Nie było to żadne *święte miejsce* wśród nędznych chat i ubóstwa otoczenia, choć mogło ono przypominać do złudzenia tamto, *nie bardzo podłe miasto*, gdzie dla brzemiennej Marii *zabrakło miejsca w gospodzie*. Radość i nadzieja emanowała z tej sceny, tym bardziej, że w sąsiedztwie znajdowała się kwatery *jednostki pokojowej* United Nations. Odwiedziliśmy z Ashlemem obie świątynie wzniesione dla chwały jedynego Boga, choć religie nasze w tak różny sposób oddają mu cześć. Wypiłem przesłodzoną kawę u Turka w bezpośrednim sąsiedztwie stajenki i dopiero wsiadając do samochodu zobaczyłem w lusterku atrapę komety, której refleksy tworzyły kształt krzyża: Saturn, *Psia Gwiazda*. Tamto uczucie radości i nadziei zastąpił jakiś niepokój. Słowa polskiej kolędy zaczęły krążyć po głowie: „...a proroctwo jego zgonu już się w świecie szerzy!”.

Późno się zrobiło, a ruch na drogach greckich jest lewostronny. Grecy nie przyjęli religii anglikańskiej, ale od swych wieloletnich okupantów nauczyli się prowadzenia osiołków po lewej stronie drogi. Gdy człowiek jest zmęczony doprowadza to do zawrotu głowy. W maleńkim przydrożnym hoteliku pokój przypomina mi wybieloną izbę w moim rodzinnym domu na Kujawach. Nawet krzyż nad drzwiami. Telewizor nie pasuje do tej izby. Włączam. Większość programów w języku angielskim. Zatrzymuję przełączanie kanałów, nie wierzę oczom; tak daleko od kraju; oto znajome twarze, polski wicepremier, w komentarzu – na ile rozumiem – mówi się wiele o seksie, kończy się to wszystkim obrazem z pałacu prezydenta, gdzie ten sam wicepremier składa przysięgę, a rota tej przysięgi wzywającym Święty Krzyż do pomocy, przenika do moich uszu bardzo wyraźnie przez obcojęzyczny komentarz. Mój przyjaciel Aslam Ahmed, Pakistańczyk rozumie doskonale komentarz, ale skonsternowany zamiast przetłumaczyć radzi mi wyłączyć program. Jesteśmy bowiem zmęczeni.

Kilka dni później znalazłem się w wiosce o jakże innym wyglądzie, gdzieś pośród wzgórz Wyżyny Szwabskiej. Tutaj pożegnaliśmy się z Aslamem życząc sobie ponownego spotkania; obiecał, że przyjedzie do Polski. Wszedłem do kościoła, gdzie szopka z dzieciątkiem Jezus stanowiła o tej porze roku integralną część głównego ołtarza. Na co dzień ołtarz ten to krzyż z naturalnej wielkości sylwetką żydowskiego mesjasza z twarzą zastygłą w bólu. Lalka w żłobie na sianie miała rysy zgoła inne, jak semickie. Ten krzyż za plecami szczęśliwej matki przytłaczał grozą spełnionej sceny straszego prorocтва scenę rozgrywającą się u dołu. Nie było nikogo w kościele; stanąłem za figurą Marii zasłaniając sobą cień krzyża. Przeraził mnie odgłos moich własnych kroków; wszyscy wierni odeszli,

## Wędrowka pod znakiem psiej gwiazdy

była późna noc i kościół był pusty. Nie zasnąłem tej nocy, ostatni bez rozgrzeszenia za winę tej daremnej śmierci Bożego Syna.

W drodze do mojego domu na Kujawach zatrzymałem się na nocleg w przyjaznym hoteliku urządzonym w starym pałacyku z czerwonej cegły na rogatkach Rzepina, gdzie zatrzymuję się zawsze jadąc tą drogą. Telewizor włączyłem na krótko tylko. Dziwne uczucie, gdy po wielu miesiącach spędzonych poza krajem słyszy się znów polski język w telewizji. Polski mąż stanu udziela wywiadu. Teraz rozumiem każde słowo. Żałuję, że rozumiem. Na innym kanale trwa reklama broni palnej do kupna bez specjalnego zezwolenia...

Obudziła mnie śpiewnym wschodnim akcentem recepcjonistka. W nie wyłączonym telewizorze powtarzane były te same wiadomości. Czekają na mnie śniadanie; recepcjonistka miała na piersi duży prawosławny krzyż na złotym łańcuchu. Czas jechać dalej.

Tak dzięki obywatelstwu niepodległego kraju widziałem w tych przedświątecznych grudniowych dniach wiele szopek z promienistą kometą, a refleksy jej promieni tworzyły znak krzyża. Na święta Bożego Narodzenia byłem już w rodzinnych stronach, gdzie czekało na mnie, zgodnie z polską tradycją, wolne krzesło, a pod choinką prezent; Boże, co za prezent!, Gołubiew, „Bolesław Chrobry”. Tak zaczynają się co roku niekończące się cykle narodzin i śmierci Syna Bożego. Wkrótce, w pewien wiosenny piątek, stanę się jednym z tych za których umrze na krzyżu. Ufny w Jego zmartwychwstanie obojętnie przejdę obok krzyża na rozstajach i nie zapytawszy o właściwą drogę, obmyję ręce w przydrożnym strumieniu i pójdę dalej. Jak ubiegłego roku. Jak każdego roku mojego życia. Jak ty i jak on. I pewnie sięgnę po znak męki Chrystusa, aby przysiąc na niego, jak czynili to moi przodkowie w ponad dwutysięcznej tradycji... Ja, ostatni bez rozgrzeszenia za winę tej daremnej śmierci...

\*\*\*

Telewizja Polska emitowała w dniach świątecznych trylogię. To nie byle jaka gratka dla kogoś, kto usiadł przy polskim stole wigilijnym na krześle przeznaczonym dla rodaków rozproszonych w świecie. Nie wiem, czy dlatego, że to już tyle lat upłynęło od czasu, gdy wchłaniałem w siebie te książki ze świętym przekonaniem, że czynię zadość mojemu tacie poznając *prawdziwą historię Polski*, czy też konfrontując, chcąc nie chcąc to, co dzieje się w filmie z wiado-

mościami, które podawała ta sama telewizja w przerwach między odcinkami polskiej epepe historycznej, patrzyłem i pytałem siebie: na co nas stać, Polaków, na zdradę i na przysięgi na krzyż bez zmruczenia oka w imię prywaty? Istotę nadprzyrodzoną, uosobianą z ojcem w najszlachetniejszym pojęciu tego słowa, jedni wręczgają w alians dla swoich interesów partyjnych, drudzy chcą tę niematerialną postać usunąć jak własny cień. I ci wydają mi się najbardziej wierzący, gdy nie kryją przed nim strachu. Gdy czytałem trylogię po raz ostatni, było to w innej Polsce. Bez krzyża w siedzibie sejmu. Czy to dlatego nie przysięgano wówczas na krzyż? Czy to dlatego z wolności wiary czyni się dziś z Krzyża i świętych elementów wiary nadużycie: *W ogóle nie przysięgajcie. Ani na niebo, bo jest tronem Bożym. Ani na Jerozolimę, bo jest miastem wielkiego Króla. Ani na twoją głowę nie przysięgaj, bo nie możesz jednego włosa uczynić białym albo czarnym. Niech raczej mowa wasza będzie: tak, tak; nie, nie. Co nadto jest, od Złego pochodzi* (Mt 5,34-37).

KRYSTIAN M. MANTEUFFEL

\* Są to fragmenty jednego ze zbioru esejów, który ukazuje się nakładem Miejskiej Biblioteki Publicznej we Włocławku pod wspólnym tytułem „Dolina fosylii”. Wiele z tych esejów publikowanych było m.in. w „Gazecie Kulturalnej”.



## Jakub Schönhof-Wilkans

### Eden in vitro

i stał sięupał  
30 stopni w cieniu  
a jeszcze wczoraj lało  
zimny wiatr dawał po nerach  
kiedy uparłem się na rower  
w ciemni zielonych przezroczy  
przeglądam negatywy ekspansywnych gatunków  
zagrzebanych w piachu pod progiem  
echolalia samochodów i drzew niewiele mówi  
wzajemne szumienie sobie  
bez szkody dla przeciwnika  
zabija tylko czasami  
przypadkowych zasłuchaczy  
oddalam się od płotu pomiędzy d. a z.  
(tu nie ma nic do rozumienia  
syknał strażnik)  
z porzdewiałych tabliczek  
nie mogą odczytać  
zagrożony czy groźny

ale przecież czas  
się tak słodko  
ślamazaaaarzy  
że nie może być mowy  
o jakimś wymieraniu  
tylko mrówki przeklinają korki  
*wszędzie te cholerne jednokierunki*  
moje źrenice coraz trudniej znaleźć  
w twojej zieleni  
*chyba pożyczyła je sobie*  
*ta ślepa sroka*

### K(a/o)liber

rozmawiały o niczym  
a strzały były cichutkie  
jak kroki żebyś się nie obudziła  
mocne gęste niebo za oknem  
czarne gwoździe można wyłuskać  
podważając dowody paznokciem  
a potem cierpliwie  
ugniatając w palcach  
zamienić w kule  
że kawa i papierosy na pusty żołądek  
że już nigdy nie będzie tak dobrze  
raczej nie  
prawie nie  
rozmawiały o nim  
a on przeładował  
z kieszeni do kieszeni  
jej rzeczy z palety na lawetę  
*wyjazd!*  
*wyjazd mi stąd kurwy!*  
*nie będziecie mi tu*  
*mojej śmierci odmawiać!*  
(w sensie nie mojej  
bo waszej ale po moich  
kieszeniach upchanej)  
utkanej  
jak kolorowe ptaszki  
w gniazdach wysoko w koronach

### Maasai Steppe

słowa i krewni jakoś nie chcą przyjść  
coraz trudniej dogadać się z żywymi  
przynosisz mi tylko szklankę mleka z krwią

musi minąć pięć dni  
już pięć dni siedzą wpatrzeni w wejście  
(a może w wyjście?) nie  
nie chce przejść  
(nie chcę żeby przeszło?)  
wejdz

posłuchaj  
jak mam ci dziś mało do powiedzenia  
i nie odpowiadaj na to zanadto  
to tylko zaczepki  
ja nie wiem  
nie wiem gdzie jestem

pomóż mi  
z małymi świecącymi znakami  
na zdychającej nokii sprzed wieków  
a ja pokażę tobie niebo bez gps'u  
pomogę tobie rozświetlić  
ocean wrzających liści  
jeśli mi pomogą

## Zamyślenia



## Szambo

*W latach zaprziesztych zaistniała lista twórców kultury, nade wszystko pisarzy i poetów polskich, o których należało milczeć w środkach masowego przekazu. Liczyła ona około 130 nazwisk wybitnych twórców. To ci, którzy w tamtych, parszywych czasach, nie radzili sobie z coraz bardziej parszywiejącą substancją społecznego życia. Równocześnie powiększała się lista funkcjonariuszy kultury i sztuki, pozostających na gamsusku władzy.*

---

KAZIMIERZ IWOSSE

---

Tym z pierwszej listy nakazano cierpieć na tzw. niemoc twórczą, zaś ci drudzy towarzysze mieli azyl dla swojej twórczości, choć słowo: azyl jest tu nieadekwatne w tym temacie. Jedni jak i drudzy znali oczywiście prawdę, ale nie wszyscy zatrudniali się do jej wypaczania w życiu. Będąc twórcą, pisarzem, rzeczywiście można manewrować ludźmi w swoich utworach literackich, co bywa zawsze niebezpieczne dla władzy. I tak każda imienna lista zaczyna się od pierwszego nazwiska, rosnąc w postępie geometrycznym. Dziś ty, jutro ja. Jeżeli już znajdziemy się na takiej liście należy zaakceptować fakt, że nie wszystko możemy wiedzieć, zaś wszelkie domysły są niewskazane i zawsze surowo karane. Każda władza posiada skłonności do przemocy. Dobrze znają ten proceder właśnie owi funkcjonariusze od kultury i sztuki. I poddają się temu z łatwością dla profitów, apanaży oraz stołków. Pojęcie „szambo” wprowadził do polskiej literatury Jarosław Marek Rymkiewicz. Poeci dostrzegają rzeczy z bliska zaś powonienie mają wyostrzone. Wyostrzony zmysł baczej obserwacji posiada też władza. Wystarczy wskrzeszony głos prawdy, wystarczy obrót powracającego czasu historycznego, a już cię mają na liście. Służby tzw. bezpieczeństwa kraju rozlewają się po jego obszarze, jak morze. Fale zalewające. Rymkiewicz jest znanym polskim poetą, jak choćby za sprawą trzech wybitnych tomów poezji: „Moje dzieło pośmiertne”, „Zachód słońca w Milanówku”, czy „Znak niejasny, baśń półżywa”.

Ale to także autor prozy historiograficzno-eseistycznej. Dla przypomnienia podam tytuły: „Umschlagplatz”, „Samuel Zborowski”, czy „wieszanie”. To znakomity tłumacz m.in. Mandelstama, Calderona i Lorki. Jest autorem sztuk dramatycznych, a w roku 2003 został laureatem nagrody literackiej „Nike”. Cóż, Rymkiewicz raz jeszcze trafił na cenzurę, jakże dobrze obecnie zakamuflowaną w swym rozkwicie. Oto owa cenzura, nie stosując już paragrafów z pewnej ustawy – dla przypomnienia podaje: (...) Ustawa z dnia 31.VII.81 r., O kontroli publikacji i widowisk, art. 2, pkt 3 (Dz.U. nr 20, poz. 99, zm.: 1983, Dz.U. nr 44, poz. 204 – sadza poetę na ławę oskarżonych, zaś oskarżycielem jest pewien znany koncern medialny tej naszej III RP. Mój Boże, czego to doczekaliśmy się w tej naszej Polsce?! Naszej? Przecież już sam pomyśl cenzurowania jakiejś krytycznej opinii ze pomocą pozwu sądowego jest właśnie szambem. Twórczość poety nie umrze dopóki poeta sam nie przyzwoli na śmierć. Rozkazy wydawane przez władzę są dla poety niesłyszalne. To nic, że poetów przeganiało się różgami przez wszystkie prawie stulecia, a przecież większość z nich żyje w naszej pamięci. To łaska ludzi, którzy byli, są i będą. Bez względu na to, ilu jeszcze poetów, pisarzy, podasadzą na ławie oskarżonych – ONI będą!

W danym nam czasie i poza czasem. O sędziach świat zapomni, oędjdą w nicość, a my dźwigniemy się z tej rozpaczbycia s o b a...

## Kazimierz Iwosse

## Bunt

Cóż wart jest okręt bez żagli i steru  
Na rozszalałym morzu wiecznych przemian  
Choć mundur kapitana w chwale stu  
orderów  
Ty nas poprowadź gdzie szczęśliwa ziemia

Kieruj nasz chory i kaleki statek  
Nim grzmiąca kipieli go pochłonie  
Na przekór klątwom naszych wrogów  
I złudnym błyskom gwiazd na nieboskłonie

Ty co potrafisz fałsz od prawdy poznać  
Ułomny strach od heroizmu dzielić  
Dla kogo sens i bezsens ludzkich doznań  
Silniejszy od odmętu i topieli – Ty!

Ty steruj nami do końca i do celu  
Po rozszalałym morzu wiecznych przemian  
Cóż znaczy pierś lśniąca od orderów  
Ty – daj znak – radosny okrzyk: ZIEMIA!



## Dariusz Dziurzyński

## p. n. e.

Safona nie musiała czytać  
w kilku językach  
antologii poezji erotycznej.

Zero indeksów  
bibliografii  
katalogów rzeczowych i alfabetycznych.

Internetu.

Naokoło śpiewano Homera  
ale przygody i wojna  
to były sprawy męskie.

Problemy wiary  
zebrał i ustalił  
Hezjod.

Wystarczyło opłacić rapsoda  
żeby sobie przypomnieć.

Nie było jeszcze  
Buddy Jezusa Mahometa  
więc nie było w czym wybierać.

Nic dziwnego  
że nawet struny głosowe  
wibrowały u niej  
nowoczesnym dreszczem

## Porządki

Przyszło trzech robotników.

Założyli nowe przewody  
wymienili gniazodka

wyźłobili  
wpuścili  
pokryli tynkiem

no i trzeba posprzątać.

Moje mieszkanie to nie stajnie Augiasza  
więc nie przejdę do mitologii.

Taka praca nikogo nie uszlachetni  
ani nie uczyni wolnym.

Zero pożytku dla bliźnich  
zarówno Maryli jak Ojczyzny.

W tym czasie mógłbym coś przeczytać  
Przyswoić kilkadziesiąt słówek  
pochylić się nad przyszłością  
mego wieku męskiego.

Podobna praktyczność nie wiąże się z pieśnią  
lecz z nuceniem popularnych singli.

Pracując w pocie czoła  
otrzymam prawdę linoleum.

Czy to się w ogóle oplaca?

## BADŹ CO BADŹ



## Nowa władza

Ze wschodu nadchodzi człowiek, o którym powszechnie sądzimy, że jest doskonale dziurawy. Nadchodzi drogą okrężną i nieraz, przy dobrej pogodzie, widać go jakby na przestrzał.

Pan burmistrz przedsięwziął już środki w celu odparcia intruza, lecz wielu obywateli zaczyna żywić obawy co do ich skuteczności.

Z natury rzeczy wynika, że środek nie ma się próżni – dowodzi znany profesor – cokolwiek bowiem istnieje, możemy się o tym dowiedzieć tylko przez porównanie z czymś takim, co nie jest czymkolwiek, a więc z czymś, czego nie ma. A zatem, cokolwiek istnieje, z pewnością znajduje się w miejscu zajętym już przez coś innego, albo, co jeszcze dziwniejsze, z pewnością znajduje się w miejscu, które z zasady jest próżne.

Dziurawy człowiek, jak widać, złamał ową zasadę, gdyż ulokował się w miejscu zajętym przez siebie samego, a właśnie w środku jest próżny. Tymczasem z doświadczeń wynika, że próżnia jest niebezpieczna – nie można jej bowiem opróżnić, a bardzo łatwo ją zająć. Zajęta podszywa się pod to, przez co została zajęta i staje się nieuchwytna.

– Nie można zniweczyć nicstwa – ostrzeżę stu generałów – broń, którą dysponujemy, z pewnością jest niezawodna, lecz w starciu z dziurawym człowiekiem okaże się obosieczna.

Pan burmistrz jest niepocieszony. Namienię kocha swą władzę i wszystkie jej atrybuty, lecz z biegiem czasu ta pierwsza kryje się w gąszczu tych drugich. Konflikt z dziurawym człowiekiem może ją nieco odsłonić, lecz krnąbrni obywatele twierdzą, że właśnie odwrotnie – niechybnie obnaży on próżność samego pana burmistrza, w wyniku czego ślad władzy zaginie już bezpowrotnie.

Ze strachu, a może z rozpacz, pan burmistrz zaczyna udawać, że dawno już przestał być sobą i jest tylko swym atrybutem. Wygląda to nawet zabawnie, lecz w rzeczy samej jest smutne – ten człowiek jest bowiem dziurawy.

Do miasta zaś zbliża się intruz, o którym powszechnie sądzimy, że będzie rzeczowym burmistrzem.

IGOR WIECZOREK



## „śmierć bogów”

10 maja 2012 roku w Klubie Dziennikarzy „Pod Gruszką” w Krakowie odbyła się promocja najnowszej książki Andrzeja Waltera pt. „śmierć bogów”. Jeden z najmłodszych członków Krakowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich jest już dobrze znany w krakowskim środowisku literackim; nie tak dawno, bo w ubiegłym roku, promował „punkt rzeczy znalezionych”, a w 2010 tom „Tam gdzie zebrałem poziomki”. Zawrotne to, trzeba przyznać, tempo; niebawem wysyp wierszy, przecież należących do niełatwych w percepcji i przemyślnych tekstów. Zauważa się w nich wulkaniczny wręcz temperament poety i błyskawiczną chęć wypowiedzenia wszystkiego, co drażni, bulwersuje, uwiera we współczesnym świecie. A potrafi Walter przyglądać się światu, prześwietlać go na wskroś, nie tylko z racji tego, że jest zapalonym i profesjonalnym fotografikiem, ale też perfekcyjnym obserwatorem. Nic mu nie umknie. Nic nie ukryje się przed wyczulonym, bystrym okiem.

Poeta z Gliwic nie tylko fotografuje słowem współczesne bolączki świata. Wnikliwie patrzy też w głąb siebie. I daje temu natychmiastowy upust. Wiersze Waltera są jak wodospady, wartkie potoki, które nie pozwalają tak naprawdę na kontemplację, na leniwą lekturę w zaciszu domowym. Bo sposób przekazu opisanego świata jest tu daleki od wyciszenia. Tworzywo jego raczej krótkich utworów składa się z rzucanych na kartkę mgnień myśli, błyskawicznych zapisów. Jakby poeta bał się czasu, który może zatrzeć wrażenie, zniekształcić je lub puścić w ogóle w niepamięć.

Bardzo elokwentny jest autor „śmierci bogów”. Jego promocje nie są tylko prezentacją utworów, ale wywołują i otwierają głęboką, szeroko zakrojoną dyskusję na tematy filozoficzne, światopoglądowe, metafizyczne i etyczne. I tutaj dopiero, w bezpośredniej rozmowie z poetą, poznajemy zestaw niebanalnych lektur, genę jego przemyśleń, dociekań, zanim zdecyduje się położyć słowa na kartkę papieru. Poznaliśmy jego program, na który podczas tej i poprzedniej promocji zwracał uwagę **dr Jacek Kajtoch**. Program ten – zaznaczył krakowski eseista i krytyk literacki – *konstytuuje Waltera w nurcie poezji intelektualno-moralnej*.

Z aprobatą o twórczości gliwickiego poety wypowiedział się też obecny na spotkaniu

historyk literatury polskiej **prof. Bolesław Faron**. Sam fakt, iż profesor zaszczycił zgromadzonych w Sali Fontany swym przybyciem, pomimo licznych zajęć i obowiązków, zaświadczył o wadze, znaczeniu słowa poetyckiego autora sześciu książek.

Tom wierszy „śmierć bogów” składa się z trzech części: *Olimp, Hades, Styks*. Są one poprzedzone trzema niepoetyckimi, dyskursywnymi tekstami, co jest ewenementem w książkach poetyckich. Zwrócił na to uwagę warszawski krytyk literacki **Leszek Żuliński**, który zredagował zbiór i napisał do niego postłowie.

Wieczór promocyjny poprowadziła prezes KO ZLP **Magdalena Węgrzynowicz-Plichta** oraz dr Jacek Kajtoch, który opatrzył prezentację obszerną wypowiedzią krytycznoliteracką. Kilka piosenek do tekstów Waltera oraz **Piotra Oprzędka** i **Marty Źarskiej-Krawczyk** zaśpiewała **Jola Serafin**.

A cały zestaw 79 wierszy otrzymali wraz z dedykacją wszyscy ci, którzy w wyjątkowo słoneczne popołudnie przyszli do Klubu Dziennikarzy „Pod Gruszką”. Było ich chyba nie mniej niż tekstów w „śmierci bogów”.

IRENA KACZMARCZYK

## Krzysztof Kalisz

## megalodony

na dnie morza  
zbudowałem  
skalną twierdzę  
i ukryłem w niej  
lipiec  
tę wymalowaną dziewczkę  
co w upale  
gzi się z chłopami  
na stogu siana

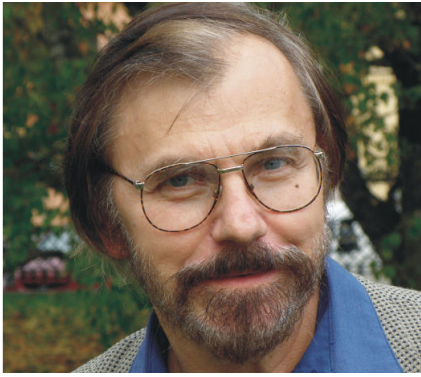
w szczerozłotym gwarze pszenicy  
znalazł azyl  
wygnany władca sitowia  
czeka  
aż się skończy  
bezmysłna szarża  
opętanej wody

z kurzu i plew  
chwieją się upiory  
gaszą pragnienie  
czarnymi sercami słoneczników

ze studni przeszłości  
wypłynęły megalodony  
prują rozżarzoną przestrzeń  
na przekór  
pokładom czasu

olbrzymy niepoznanych mórz  
bękart  
żaru i tęsknoty  
odpłyną w głąb przeszłości  
gdy zamknę oczy

## Listy do Pani A. (48)



## Piękni infantylni!

Droga Pani!

Bardzo nam się ostatnio „rozzebrało”. Najpierw Prezydium. Prawie dwie godziny omawiania zagadnień, które miały być poruszane na plenarnym zebraniu Zarządu Głównego za dwa dni.

Potem już Zarząd Główny. Poruszaliśmy sprawę związkowe. W programie było również sprawozdanie przewodniczącego Komisji Kwalifikacyjnej. Jakoś bez większych protestów przyjęto moje sprawozdanie. Nawet fakt, że na trzydzieści wniosków tylko sześć zostało zatwierdzonych pozytywnie został przelknięty. Stwierdziłem brutalnie, że wyłącznie liczą się kryteria artystyczne, a nie przydatność organizacyjna, czy ciężka choroba. Powiedziałem, że ZLP nie jest związkiem inwalidów, emerytów i rencistów. W zasadzie nikt się z terenowych prezesów nie indyczył i nie wykazywał, że Komisja to banda głupców nierozumiejących literatury. Pewnie niejedyn tak myślał, ale starć żadnych nie było.

Długo to wszystko trwało, dobrze, że była przerwa na obiad, bo byśmy tam popadali z głodu i osłabienia.

Powrót do domu też był niepozabawiony atrakcją, ponieważ dziś dla odmiany był protest artystów i związków zawodowych. Wczoraj taksówkarzy. Autobusy miały zmienione trasy, ale na szczęście nikt z protestujących nie wpadł na genialny pomysł, żeby zablokować metro...

Niedługo potem mieliśmy jubileusz Andrzeja Tchórzewskiego, który skończył siedemdziesiąt pięć lat. Prezes otworzył, powitał i oddał mi głos jako pierwszemu. Opowiedziałem o poezji Tchórzewskiego, podkreśliłem jej walory, indywidualność, precyzję. Zwróciłem uwagę, że poeta twierdzi, iż nie można o rzeczywistości orzekać w sposób definitywny i jednoznaczny. Nie wolno też wypreparowywać jej z kontekstów kulturowych, z mitów, w które nie należy wierzyć dosłownie, ale które kształtowały, i jeszcze wciąż kształtują, mentalność i osobowość człowieka. Wszystko należy poddawać próbie, bo dana jest nam tylko władza wątpienia – jak Andrzej napisał w jednym z wierszy.

Potem mówił Andrzej Wołosewicz o pewnych elementach filozoficznych w poezji Tchórzewskiego, ale jakich – niestety dokładnie nie powiedział. Następnie Jan Zdzisław Brudnicki wspominał ich wspólną pracę w redakcji „Poezji”. Dwoje młodych ludzi – Joanna Pawlusek i Paweł

Łęczuk czytało wiersze Jubilata, bardzo dobrze i nastrojowo.

Aldona Borowicz czyniła honory domu, ale bardzo dyskretnie, aż Marek Wawrzekiewicz powiedział o niej publicznie „ta anonimowa osoba”, czym wywołał wielką wesołość na sali.

Potem, oczywiście, „lampa”. Może nawet więcej. Ja sobie przyświeciłem jakąś 60-watową żarówką, ale to na mnie wrażenia nie robi. Właściwie nikt chyba nie zaświecił żarówki mocniejszej, chyba, że jeszcze 75-watową, w skali do 100 wat. Tak więc lampki były nieszkodliwe, nikt nie stracił wzroku ani... rozumu.

W niedługi czas potem byłem na spotkaniu klasowym w Świdrze. Jaki to ma związek z jubileuszem? A taki, że spotykają się byłe dzieci, dzisiaj ludzie dojrzały, a czasem przejrzały. Po wspominkach przechodzi się do rozmowy na tematy współczesne, to znaczy... o chorobach. Nie miałem żadnej karty przetargowej do tej licytacji. I dobrze. Jeszcze nikt nie musi mnie pielęgnować, chociaż... tu i ówdzie czasem coś strzyknie. Ale to tylko znak, że jeszcze żyję.

A jubileusz Andrzeja Tchórzewskiego przeciętnie – utwierdzał nas w przekonaniu, że choć czas upływa i nie w pełni jesteśmy tacy sami jak niegdyś, to w gruncie rzeczy nic się nie zmieniło. Miał rację Mirosław Malcharek, gdy kiedyś mi powiedział, że artyści, poeci są na swój sposób infantylni i dlatego długo pozostają młodzi. Andrzej Tchórzewski, Aldona Borowicz, Marek Wawrzekiewicz, to przeciw młodzieży. Nie mówiąc o mnie, bo dla Pani mogę być nawet przedszkolakiem.

Potem znowu miałem zmianę nastroju. Byłem na wieczorze w Hybrydach zorganizowanym przez Krystynę Gucewicz. Można tam było zaznać trochę przedwojennej atmosfery. Było to tradycyjne zakończenie sezonu połączone z promocją książki Krysi o Andrzeju Kopiczyńskim. Spotkanie jak zwykle ciepło prowadziła Krystyna, a potem niezapomniany koncert. Katarzyna Trylnik, solistka Teatru Wielkiego-Opery Narodowej, zaśpiewała „Cztery pieśni miłosne” Marka Sewena i Krystyny Gucewicz, a potem był recital Ireny Santor. Co za głos, co za klasa! To wielka artystka, jakich dziś coraz mniej. Śpiewała piosenki z nowego repertuaru, a potem z dawniejszego, np. wzruszającą mnie zawsze „Nie ma już dzikich plaż”. A kiedy zaśpiewała do słów Hemara „jeszcze tylko wspomnij mnie” – odniosłem wrażenie, że trzymam Pani rękę w swojej dłoni.

Tęsknię do tych przedwojennych klimatów. Gdybym żył w latach trzydziestych z pewnością byłbym bywalcem teatryków, kabaretów, prześiadywałbym nocami w „Adrii” w towarzystwie Tadeusza Wittlina, Światopełka Karpińskiego, Jerzego Paczkowskiego, Skamandrytów z Julianem Tuwimem na czele; Wieniawy Długoszowskiego i wielu innych kulturalnych a dowcipnych ludzi, literatów, malarzy, muzyków. Ale też wtedy jako autor zarabiałbym „prawdziwe” pieniądze i byłoby mnie na to stać. A poza tym w pierwszorzędnym lokalach Warszawy nie było hołoty i chamstwa. Można było czuć się bezpiecznie i komfortowo. Tak, proszę Pani, mam duszę artystycznego cygana i ciągnie mnie do takiego życia, ale teraz czasy się niestety zmieniają. Pozostaje nostalgia... i te listy, które piszę do Pani już tyle lat.

Siedziałem na sali i obserwowałem słuchaczy. Sala w Hybrydach jest dosyć ciemna, nie można

dostrzec wszystkich w zgromadzonym tłumie. Ale prócz kilku osób znanych z dokonań artystycznych, było sporo znanych z tego, że są znani i zadowoleni z siebie. Faceci pozujący na amerykańskich playboyów. Niejedna dzidzia piernik prężąca wymię... ojca i syna... rewolucji. To taka „Warszawka” czyli plankton około artystyczny. Ogólnie jednak biorąc było bardzo przyjemnie, a ciepło i serdeczność Krysi Gucewicz jest nie do przecenienia. A także sam koncert. To była uczta duchowa. Potem cielesna także – wino i doskonały tort.

Nie wiem, czy pisałem już Pani, że w Bułgarii ukazał się obszerny, dwujęzyczny wybór moich wierszy. Niedawno była promocja w Sofii. Połączyłem się na skype z Instytutem Polskim, powitałem zebranych, opowiedziałem o powstaniu tego tomu, podziękowałem zebranym i zaprosiłem do wysłuchania wierszy w wykonaniu tamtejszych aktorek. Niestety w Instytucie nie było kamery, więc nie widziałem sali. Mogłem jedynie patrzeć na siebie na podglądzie niczym jakiś narcyz. Kiedy skończyłem, usłyszałem brawa. I nie było to klaskanie jednej osoby.

Dostałem później kilka zdjęć oraz bardzo pozytywne relacje. Sprzedano też trochę egzemplarzy książki.

A na Narbutta, właściwie na dużym skwerze Słonimskiego, koło remontowanego właśnie kina „Stolica”, odbywały się – jak co roku od trzech lat – obchody Święta Ulicy Narbutta. To bardzo przyjemna impreza sąsiadów, bez urzędowskiego zadęcia. Pochodziłem, posiedziałem, byłem stoliki z różnymi rzeczami typu „upominki”, przy których handlowano, a pod namiotem siedzieli poeci, którzy mieli czytać wiersze. M.in. Dorota Ryst, Paweł Łęczuk, Sławomir Płatek (był trzy lata temu na moich warsztatach w Gacówce) i kilkoro innych, których nie znam. Na stoliku leżały tomiki oraz almanachy z warsztatów w Gacówce. Ale czytanie wierszy przez autorów się bardzo opóźniało. Potem rzeczywiście zaczęli występować, a ponieważ czas nie był ograniczony, to ta sama osoba czytała i czytała, też bez ograniczeń, jak to poeci. Nie było widać ludzi szczególnie zainteresowanych.

W takich warunkach nie chciałbym czytać, przynajmniej tak długo, bo jednak lubię mieć choćby małe audytorium, nawiązać kontakt wzrokowy, coś opowiedzieć „pomiędzy wierszami”. Czytanie ciurkiem do drzew jakoś mnie odrzuca. Tak samo nie lubię czytać z estrady, kiedy w dodatku w oczy świecą jupitery.

Czekając na występ autorów jeszcze trochę pospacerowałem, posłuchałem, jak dzieci przystępujące do konkursu śpiewały piosenki, potem zagrałem w Scrabble – to zajęcie na cały dzień, zwłaszcza kiedy się nie ma odpowiednich liter.

Wszystko to trwało długo, ale było przyjemnie, pogoda sprzyjała, przewinęło się sporo osób, była też rodzina państwa Onyszkiewiczów; mieszkają blisko mnie. Zawsze są na tym festynie obecni i czynnie się udzielają. Niestety, nie dostrzegłem tam Pani, choć Jej obecność przeczuwałem intuicyjnie.

A teraz, dalej mając Pani obraz przed oczami, jak najserdeczniej pozdrawiam –

STEFAN JURKOWSKI

## Rozmyślania



## Nasze wolności

*Tak wiele lat minęło już od naszych przemian ustrojowych 1989 roku, kiedy zniesiono cenzurę i od kiedy każdy w zasadzie może mówić i pisać, co chce. Wolność ta spowodowała, że nagle zostały zatarte granice pomiędzy tym co dalekie, a tym co bliskie.*

---

**ANDRZEJ DĘBKOWSKI**

---

Już Fiodor Dostojewski pisał w „Braciach Karamazow”, cztery lata po opatentowaniu telefonu przez Bella:

*(...) Zapewniają, że świat coraz bardziej się zespala, że zespala się ku braterskiemu obcowaniu, ponieważ skraca odległości, myśli przenosi powietrzem. Niestety, nie wierzę takiemu zespoleniu ludzi. Pojmują wolność jako pomnożenie i szybkie zaspokojenie potrzeb, wypaczają naturę swoją, albowiem krzewią w sobie wielką moc bezmyślnych i głupich pragnień, nawyków i najniedorzeczniejszych wymysłów.*

Od tego czasu ostrzeżenie przed niebezpieczeństwami związanymi z postępem technologii komunikacji staje się coraz popularniejsze. Jednak ta rozkwitająca gałąź publicystyki nie powinna odnosić się do technologii jako takiej.

Albowiem podstawowe pytanie brzmi: czy mamy prawo do swobodnej wymiany informacji? Oczywiście wydaje się, że w demokratycznych państwach jest to przywilej wszystkich obywateli, którzy są równi wobec prawa. Zastanówmy się jednak, co z tej zasady wynika – dla zwykłego obywatela. Może on niewątpliwie przekazywać swe opinie rodzinie i znajomym. Nawet jeśli skorzysta z prawa do manifestacji na ulicach, to hasła na transparenecie mają wciąż dość ograniczony zasięg oddziaływania. Chyba, że przypadkiem migną w telewizyjnych wiadomościach. Porównajmy tę sytuację z pozycją człowieka, który decyduje, które mi-

gawki mają się znaleźć w wiadomościach – właściciela sieci telewizyjnej czy konsorcjum prasowego.

Internet (np. listy dyskusyjne czy prywatne strony www.) umożliwia każdemu umieszczenie własnych myśli, opinii i idei w takim miejscu, w którym znajdują je wszyscy zainteresowani (korzystający z Internetu). Ta wolność ogłaszania i dostępu do informacji nie ogarnia na razie najbiedniejszych, ale i tak stanowi największy w tym względzie postęp w historii ludzkości.

Po raz kolejny przekonuję się, iż Polska nie jest do końca wolnym krajem; iż nadal można zostać uwięzionym za słowa, nie za czyny; iż ciągnie się pasmo ograniczeń wolności słowa, i nie widać końca tegoż. Krok po kroku, zbliżamy się w kierunku jakiegoś dziwnego systemu, w którym żadna krytyka nie będzie dozwolona, każda będzie traktowana jako obraza, naruszenie czci, znieważenie, itd. Ktoś chce przekształcić Polaków w naród przyklaskiwaczy, w naród niezdolny i nieważący się na otwartą krytykę i negatywną ocenę; a w każdym razie – mało komu zależy na naszej wolności.

Niestety, wolność słowa i wyrażania się w Polsce jest pod ciągłym ostrzałem. Sądy w Polsce wprowadzały zakaz publikacji reklam wielu firm, niebędących niczym innym, jak po prostu cenzurą prewencyjną – a chciałbym przypomnieć, że jest ona zakazana przez Konstytucję III RP. Kneblowanie dziennikarzy stało się w Polsce normą, wbrew wszelkim normom światowym.

Pamiętam, jak za ś.p. Andrzejem Leppem wysłano list gończy. Ale nie za organizowanie blokad dróg i rozrób na skalę masową, podczas których dochodziłoby również do używania przemocy – ale ścigano go za „znieważanie rządu polskiego”. A czym była ta „zniewaga”? Nazwaniem rządu „reżimem antypolskim i antyludzkim” oraz nazwanie jednego z polityków „bandytą z Pabianic”. Jeśli to jest zniewaga, to czym jest wypowiadanie krytyczne w celu wyrażenia sprzeciwu? Czy też u nas wolno tylko popierać i przyklaskiwać?

Tego rodzaju odzywki, wypowiedziane i pisane nie są niczym innym niż krytyką, mocno rozpowszechnioną na Zachodzie – tam często różni ludzie mówią o „bandyckich rządach”, „złodziejskich urzędach podatkowych”, „zwyrodniałej policji”, czy „leniwych lekarzach” i nikt nie ma prawa ich ścigać.

Wolność słowa według encyklopedii, to podstawowe prawo człowieka, odnoszące się do możliwości swobodnego wypowiadania swoich poglądów, łączona jest z reguły z prawem do informacji. Współcześnie jest uznawana jako standard norm cywilizacyjnych, chociaż często nakładane są na nią pewne ograniczenia, np. w sprawach publicznego obrażania innych osób. Stwierdza się w nim zgodnie, że każda jednostka ma prawo do wolności poglądów i wypowiedzi, prawo to obejmuje wolność posiadania poglądów oraz nieskrępowaną swobodę poszukiwania i rozpowszechniania informacji oraz idei, bez względu na granice

państwowe, w formie ustnej, pisemnej bądź z pomocą druku, w postaci artystycznej bądź z wykorzystaniem każdego innego środka przekazu. Dlaczego powinniśmy pozwolić ludziom, o których wiemy, że są w błędzie, na głoszenie ich poglądów? Przyczyn jest wiele, ale być może najważniejszą jest ta, która w streszczeniu brzmi następująco: jeśli zbudujemy machinę do zakazywania czyichś poglądów, nie możemy zagwarantować, że ta straszna siła zawsze będzie używana w sposób, w jaki chcemy. Gdy pewna liczba ludzi łączy się w żądaniu zakazania X, niektórzy z nich nie mają nic przeciwko wolności Y, a inni nie mają nic przeciwko wolności Z. Ale trochę inna koalicja może zakazać także Y, a jeszcze inna może zakazać Z. Może się nawet zdarzyć, że niektórzy z tych, co poparli jeden zamach na wolność spostrzegą później, że aparat represji, który pomógł zbudować, zwraca się przeciwko nim samym. Nie można przecież milczeć. Gdybyśmy milczeli, politycy nie wiedzieliby (lub nie chcieliby zauważać) niektórych problemów.

Współczesna kultura także wyraża własne opinie. Doskonałym przykładem jest piosenka: „To my”. Opowiada ona o polskich problemach: korupcji, rządzie i Polakach, którym brakuje nadziei na lepsze życie w Polsce. Sądzę, że jeśli istnieje prawo wolności słowa, to nikt nie powinien niczego zarzucać: ani muzyce młodzieżowej, ani pisarzom, ani plastynom, czy filmowcom. Nie łamią oni prawa, a jeśli kogoś denerwuje niepatriotyczny charakter piosenki, filmu, wiersza, czy instalacji plastycznej, to nie musi jej przecież słuchać czy oglądać! Tzw. starsze pokolenie uważa, że młodzi ludzie wypełniają wolny czas głównie oglądaniem TV i video, słuchaniem radia, kaset, płyt. A dorośli, to nie robią tego? Oni też nie tracą czasu na „takie głupoty”? Myślę, że to właśnie oni mają zawsze coś przeciwko wolności słowa w naszej sztuce, muzyce i literaturze. W niej wyraża się uczucia, mówi się o problemach takich jak narkomania czy alkoholizm. Mówi się także głośno o nieudacznosci naszych rządzących. Wszyscy wiemy, że Polska ma poważne kłopoty. Myślę, że wiele osób po prostu boi się o tym mówić. Być może Polska potrzebuje takiej ostrej motywacji. I naprawdę nie można podważać tego, że ktoś ma inne zdanie od naszego. To jedno z naszych podstawowych praw, któreśmy sobie sami ustanowili. W końcu ci, którzy mają coś przeciwko mogą również wyrazić swoje zdanie, bo mają przecież do tego prawo.

Powyższa argumentacja za wolnością słowa w jakiegokolwiek sferze nie opiera się na odrzuceniu tego, że korzystanie z tej wolności przez pewnych ludzi może mieć szkodliwe następstwa. Opiera się ona na przyjęciu, że stłumienie tej wolności będzie miało bardziej szkodliwe następstwa. Dlatego każdy z nas powinien sam zobligować siebie do należytego korzystania z tej wolności, pamiętając, że przecież każdy może mieć własne zdanie. Ale to już temat do innych rozważań.

JÓZEF BARAN

## PRZYSTANEK MARZENIE (22)

(FRAGMENTY)



Jego życie – zatoczywszy koło przez Kraków, gdzie zdobywał wiedzę na jednym z najstarszych uniwersytetów Europy, przez miasteczko opolskie Kietrz, gdzie był nauczycielem, a potem kierownikiem szkoły, przez Opole, gdzie mieszkał i pracował w redakcjach – powróciło do punktu wyjścia: do Borzęcina, gdzie Józek Szczupalik po raz pierwszy podźwignął się z „raczek” i zobaczył wschód i zachód słońca, wypowiedział słowo: „mama”, poczuł zapach kwitnących wiśniowych ogrodów i usłyszał klekocące bociany na starym wiązku.

Zamieszkał na stałe na „smętarzu”, przylegającym do rodzinnej chałupy, w której przyszedł na świat.

Z odejściem Józefa odfrunęła też i rozprysła się niczym bańka mydlana ta malutka cząsteczka mnie, wynikająca z naszych spotkań.

Najpierw zapamiętałem go jako studenta słynnego uniwersytetu krakowskiego. Byłem wówczas uczniem zawodówki górniczej w Jaworznie, szczyłem 15-, 16-letnim, chłonnym jego opowieści jak baśni z tysiąca i jednej nocy – pod lipą naprzeciw kościoła, w miejscu, gdzie stoi dziś przystanek autobusowy. Schodziliśmy się w wakacyjne wieczory po skwaronym żniwnym dniu, żeby poplirtować z dziewczynkami, napić się piwa, pogadać, odetchnąć od roboty, umówić się na wesele na drugą wieś, pożartować z głupiego Julka, który za parę groszy podciągał się na rękach na gałęzi lipy...

Józef był najstarszy z nas i najbardziej obrotny w języku. Słuchałem jego gawęd z wypiekami na twarzy, może dlatego, że opowiadał barwnie o świecie artystów w Krakowie, do którego prawdopodobnie już wtedy podświadomie tęskniłem. O niezwykłym życiu krakowskich żaków. O Ewie Demarczyk i Piotrze Skrzyneckim czyli o „Piwnicy Pod Baranami”... Ulegałem czarowi opowieści i zazdrościłem mu możliwości bycia w tym legendarnym mieście.

Ale – jak wiadomo – fortuna kołem się to-

czy. Oto upłynęło trochę wody w Uszwicy i pewnie z piętnaście lat, gdy znowu spotkaliśmy się w wakacje w naszej rodzinnej wiosce. Tym razem ja przyjechałem z Krakowa. Byłem „znanym obiecującym poetą krakowskim”, dziennikarzem tygodnika „Więści”, a on – kierownikiem szkoły w opolskim Kietrzu. Wpadliśmy na siebie przypadkiem – w tłumie, po sumie. Okazało się, że zna moje wiersze, czyta artykuły w gazecie. Tym razem on dopytywał się o Kraków i o życie cyganerii artystycznej. Wreszcie mogłem się z kimś w Borzęcinie nagać o poezji, którą Józef znał i lubił, ba, potrafił na pamięć recytować wiersze ulubionego poety Krzysztofa Kamila Baczyńskiego.

Miał po rodzicach „lekką gadkę”, swadę i barwność językową, a poza tym znakomitą pamięć do różnych faktów, osób z przeszłości. Przy flaszczyce żołądkówki, którą Józek przyniósł w dwa dni później do mojego letniego domku w Borzęcinie, przyszło mi na myśl, że może powinien spróbować pisać reportaże, jako urodzony gawędziarz z wykształceniem polonistycznym. Podchwycił to i rzeczywiście za jakiś czas przysłał swój pierwszy artykuł, bodaj o autochtonach na Opolszczyźnie. Po przeróbkach wydrukowaliśmy go w krakowskich „Więściach”. Potem zaczął przysyłać inne reportaże z Ziemi Zachodnich.

Nasza współpraca rozwijała się jeszcze kilka dobrych lat i parę razy spotykaliśmy się w naszym Borzęcinie. Raz, na początku lat 80., Józef przyniósł półlitrową flaszkę żołądkówki z podziękowaniem. Dostał pracę w dzienniku „Trybuna Opolska” i chciał się ze mną podzielić tą radosną wiadomością.

Stawał się coraz bardziej cenionym reporterem na swoim terenie, a także lubianym autorem felietoników, a raczej nowelek zatytułowanych *Miniatury*. Nostalgiczne pocztówki-wspomnienia, mimo że utrwały niegdysiejsze obyczaje, postaci i pejzaże wsi małopolskiej – były o dziwo! – bliskie Opolanom. Odnajdywali w nich swoje wspomnienia „zza Buga”.

Po jakimś czasie dostałem przesyłkę pocztową od Józefa z jego książką, zawierającą właśnie te pełne poezji *Miniatury*. Zachwyciłem się nimi, bo przecież były to portreciki znanych mi kiedyś, zapomnianych sąsiadów z Borzęcina, wyczarowane jego talentem baśniowe klimaty z mojej arkadii dzieciństwa:

„W kącie izby siedziało trzech muzykantów. Jeden grał na skrzypcach, drugi na harmonii, trzeci walił w bęben. Różni tak głośno, że słyszał to nawet głuchawy Franek (...) Przy takiej muzyce hulalo się jak trza. Chłopcy siarczyście przytupywali. Co chwilę któryś zatrzymywał się przed muzykantami i śpiewał na całe gardło: »za las, chłopcy, za las, bo za lasem grają, bo za lasem chłopcy panny obla-piają (...)».

Tak szła zabawa aż do północy. A potem chłopaki odprowadzali panny do domów. I wracali do swoich chałup. Śnieg skrzypiał im pod butami, na niebie stał jasny księżyc, że było

od niego widno jak w dzień.

A oni szli i jeszcze śpiewali, aż niosło się po polach. Czasami jakiś pies zaszczekał. W którejś chałupie gospodarz się przebudził i przewracając się na bok, mruknął: »Oho, nasi wracają, a baba mu na to: »od Franka, chłopie, od Franka«.

Bo wszyscy wiedzieli, że zimowymi wieczorami u głuchawego Franka odbywają się potańcówki. Zresztą u nas każdy wiedział wszystko o wszystkich. To, mówili, jest młynarz, to kościelny, to Szczepan, co układa posadzki i wiersze, to sołtys, to Wojciech, który umie ukłęćcić powrosła”.

Ileż razy wracałem ze śpiewem z takich weseł, potańcówek, a w głowie szumiały mi wypite bełty, piwne piany...

Raz zdarzyło się, że tylko wrodzona bystrość nóg uratowała mi życie, gdy o świcie zwiąłem gdzie pieprz rośnie z wesela przed weselnikami z sąsiedniego Przyborowa, z których każdy dzierżył sztachtę wyrwaną z płotu! Uratowałem się, bo biegłem szybciej od nich i miałem orientację w terenie; wiedziałem jak kluczyć między chałupami, żeby ich zgubić. Ale ten bieg o świecie przyplącałem ciągnącą się przez parę lat nerwicą serca...

Jak mogłem nie zachwycać się opowiadaniami Józefa, gdy podczas czytania natrafiałem na takie perełki – dialogi pomiędzy szwaczem Jasiem i ojcem autora, kolejjarzem, Sylwestrem Szczupalem:

„A ojciec opowiadał: »Pociągi, chłopie, jak jeździły, tak jeżdżą. Ludzi w nich jak śledzi w becze. Handlarki, szmalcownicy, bimbrownicy, no i zwyczajnego narodu pełno. Jedni gadają, że kolchozy będą po wsiach zakładać, a w nich nie tylko ziemia, ale i baby będą wspólne. Drudzy, że Amerykany niedługo ruszą na bolszewików. I choć dopiero trzy lata mija, jak się wojna skończyła, to już nowa wybuchnie. A w Tarnowie ktoś zamordował tego pejsatego żyda, co zawsze chodził w chałacie«.

»Ho. Ho, ho«, mówi na to szewc Jasiu, »a ja tu siedzę nad kopytem i nic nie wiem, co się w wielkim świecie wyrabia... No, ale szewców i kolejarzy chyba nie będą ruszać, bo kto im buty naprawi, albo pociągiem przewiezie?«.

Ostatnie nasze spotkania miały miejsce w lipcu 2005 roku. Już dwa lata wcześniej wiedziałem, że Józef przeszedł dwie operacje na otwartym mózgu czyli trepanację czaszki, na skutek czego utracił wzrok.

To nie były dobre wieści.

Rozmawialiśmy parę razy przez telefon. Mieliliśmy o czym mówić, bo ja w styczniu 2002 też przeżyłem ciężką operację. Usunięto mi – w porę – guza okrężnicy i cudem z tego wyszedłem. Jednak zdawałem sobie sprawę, że jego przeżycia były o wiele gorsze, gdy przebudził się na łóżku szpitalnym i „zobaczył” wokół siebie ciemność. Stać się niewidzącym dla chłopa „po kopie” – to przeżycie, które przerażało moją wyobraźnię!

cdn.



## Siły i wymiary miłości

To już ósmy tomik wierszy **Danuty Perier-Berskiej**, który ukazał się prawie w dziesięciolecie jej debiutu książkowego. Nosi on tytuł „Ślad w mojej pamięci” i składa się z czterech części: „Taniec na kartce papieru”, „Nic nie pasuje do wspomnień”, „Gra o guziki” oraz „Zatęskniłam za francuskim »r«”. Zawiera wiersze typowo kobiece, pisane w formie liryków, erotyków, sonetów, ale i panegiryków. Te ostatnie głoszą bezgraniczną pochwałę wszechpotężnej siły miłości.

W pierwszej części tej estetycznie wydanej książeczki, poetka dokonuje bilansu osobistego dojrzenia emocjonalnego, który pozwolił jej w pełni stać się człowiekiem, a właściwie kobietą. Usilnie tropi ślady doświadczeń życiowych odcisniętych w pamięci, kształtujących jej wyobraźnię twórczą. Przyjmuje przy tym ciekawą, ale i prostą metaforę świata, który w jej życiu jako przysłowiowym zeszycie głęboko się odcisnął i poniekąd wchłonął w siebie autorkę i napiętnował swą specyfiką. Perier-Berska dochodzi do pewnej ważnej dla niej konstatacji, że człowiek to wielka niewiadoma, zamieszkuje świat pomiędzy sferą anielskich uniesień i diabelskich czynów oraz zakłęb. Wynika z niej ważna dla poetki prawda o sobie, że to, co wartościowego możemy pozostawić po sobie, to osobliwa i niepowtarzalna ścieżka kulturowania i celebrowania miłości. Jako w pełni uformowana kobieta, autorka przeżywa, rzecz jasna, lęki związane z doświadczeniem upływania czasu, starzenia się, obrazami odchodzących na zawsze ludzi oglądanych w hospicjum. Klimat tych wierszy, ale i rozterki poetki dobrze oddaje wiersz pt. „Stare kobiety”, w którym czytamy: „najlepiej czują się o zmierzchu / wieczór bez jednej zmarszczki / zasypiają w ułudzie / liczą że jutro / zbudzą się młode”.

Ciekawie ujmuje Perier-Berska swoją ekologiczną niszę życia – miasto, a właściwie domy oglądane okiem przechodnia z perspektywy ulicy, a w wierszu „Zagadkowy obraz” tak oto wizualizuje dyskursem wiersza to doświadczenie: „na parterze budynku / oświetlone wnętrza salonu / ciekawość zatrzymuje przechodnia // na ścianie wielki obraz / z wywalonym językiem / na którego koniuszku / wyrosła purpurowa róża / kropla krwi kapie ze ściany”. Następnie auto-analitycznie zwraca się ku sobie, własnemu wnętrzu, by porównać siebie do pojemnika ze szkła, napelnionego kroplami różnych smaków życia. Na chwilę odwraca się ku światu i wtapia się bezwiednie w smaki i kolory przyrody, rozkładając ten naturalny serial pejzaży na kolejne odcinki pór roku. Wspomina matkę, męża, córkę, co wzmacnia jej doświadczenie przemijania, którego sensu do końca nie rozumie. Zagląda przez ekran komputera do uwiecznionego tam świata i resetuje pokłady swej pamięci, co daje jej namiastkę obcowania z wiecznością, ale i częściowe ukojenie oraz zgodne na własny los.

W drugiej części tomiku poetka skupia się na uczuciu miłości, jego wymiarach, by na wstępie uzasadnić to nastawienie, pisze, że miłość jest tym przeżyciem, które bez względu na wiek, zawsze „jest warte grzechu”. Ten stan miłosnego pobudzenia w sobie tak oto przedstawia w wierszu „recepta”: „zakazana miłością / w łonie matki / choruje / odwiedziłam różnych lekarzy / nie pomogły nawet leki / nawet akupunktura okazała się / nieskuteczna // nadal jestem nosicielką”. Przy okazji kolejne utwory poświęcone doświadczeniu i budowaniu uczucia miłości rozważa w mitycznym i symbolicznym raj, gdzie biblijni: Ewa, Adam i wąż konkurują ze sobą o szansę zerwania rajskiego jabłka z drzewa wiadomości. Miłość bowiem w ocenie poetki zawsze rodzi wiersze, a one dają siłę życia i kolejną brzemienność emocjonalną, prowadzącą w dialektyce istnienia ku nowym prawdom. Pojawia się więc szczęście, często nieślubne dziecko miłości, nawet grzeszne, lecz zawsze pożądane, „wielkie jest nasze szczęście / a tak mało zajmuje miejsca” – podkreśla autorka. Pisze również utwór „Senne blokowisko” kipiący cieniami nocnej namiętności, składający ku przeżyciu, które w innym miejscu nazywa „betonowym erotykiem”, a w którym czytamy: „miasto za oknem śpi / świetlne punkciki zawisły w powietrzu / geometria pięter znaczy tajemnice pokoi // na szóstym cienie tańczącej pary / w otwartych drzwiach balkonu noc składa im / obietnice”.

Tomik zamyka cykl wierszy napisanych we Francji. Poetka dzieli się w nich swoją miłością nie tylko do swoich bliskich, kolorytów świata przyrody, ale również do sztuki i kultury powstającej nad Sekwaną. Jej doświadczenie przekonuje ją i współbrzmia z jej życiową zasadą kulturowania różnorodnych barw oraz wymiarów miłości. Klimat tych utworów chyba najlepiej oddają dwa wiersze bez tytułu, które pozwolimy sobie zacytować: „Na wzgórzu Montmartre / spotkasz zakochane kobiety / i pijanych malarzy / miłość w różnych odcieniach / uzależniona od świata jak od Narkotyku / na wzgórzu Montmartre / grzech spływa tłustą farbą / ze sztalug / wsiąka w posadzkę / Sacré-Coer // tu tylko malarz może dać / rozgrzeszenie”. Zaś w drugim – zachęcając do lektury tego znakomitego tomiku krakowskiej poetki – stajemy z nią naprzeciw płóciennemu Lotreca i słyszymy wtedy, że: „kobiety Lotreca / mają zmysłowe usta / jędrne piersi / i uda stworzone / do kankana // kobiety Lotreca / nie zakochują się / beznadziejnie / to on walczy z namiętnościami / za każdym pociągnięciem pędzla // z takich nieszczęśliwych miłości / zrodziły się arcydzieła mistrza”. Cóż – trudno się nie zgodzić i z tą poetycką diagnozą o tworzącej się sile i wartości miłości.

### PROF. IGNACY S. FIUT

Danuta Perier-Berska, „Ślad w mojej wyobraźni”. Dom Wydawnictw Naukowych, wybór i redakcja: Beata Anna Symolon, projekt okładki, fotografie: Paula Angelina Perier, wykonanie okładki i stron działowych: Tomasz Zacharski, Kraków 2011, s. 88.

## Urzekający debiut powieściowy

**Jerzy Włodzimierz Misztela** (1946), wywodzący się z podrozprzańskiej Starej Wsi, do niedawna pracownik bełchatowskiej kopalni węgla, od wielu lat mieszkawiec Piotrkowa, debiutował poetycko w pokłosiu jednej z edycji „Rubinowej Hortensji” (1985). Pierwszy tomik wierszy *Krawędź* wydał w serii „Piotrkowskie Zeszyty Poetyckie” redagowanej przez niżej podpisanego, tj. w roku 1987. Kolejne tomiki poezji to: *Garbate poranki*, *Klejnot z sitowia*, *Opowieść starego albumu* – poemat wydany także po angielsku oraz opowieść prozą *Strajk zegarmistrzów*. Autor jest członkiem kieleckiego oddziału Związku Literatów Polskich i piotrkowskich grup literackich „Pomosty” i „Abaton”.

Ostatnio, mimo zmagania z chorobą, napisał i wydał powieść „Księżyc nad Luciążą”, której akcja toczy się w tej wsi, w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Urodzony tam i wychowany nie tylko nie zerwał więzi z „rodzinną doliną”, ale i zakodował w pamięci ładunek faktów i mnóstwo innych szczegółów z życia jej mieszkańców w owym siermiężnym czasie minionego ustroju. Ten pamięciowy bagaż doświadczeń i przeżyć dorastającego wówczas i przystojnego młodzieńca – co widzimy na zdjęciu w książce z wymownym podpisem poetyckim: „Gdy zapach czarnego chleba / I cierpki smak młodego wina / Oszałamiał...” – ten zasób okazał się kopalnią inspiracji i tworzywa dla tej prozy.

Jednak niech czytelników nie zmyli to, że autor czerpie z tej „kopalni” całą garścią. To nie jest zbeletryzowana autobiografia! Występujący w pierwszej osobie narrator to co najwyżej porte parole pisarza. Nieistotne i to, że mieszkańcy owej wsi noszą tu autentyczne nazwiska, choć jedni o drugich mówią przezwiskami. To na wsi nic nowego – doprawdy trudno znaleźć wieś w dowolnym czasie naszych dziejów, gdzie ktoś by nie miał przezwiskowej łatki. Kilka przykładów z tej powieści: Czorny, Filozof, Herbatnik, Kaszana, Ślipek... Oczywiście, wielu zwraca się do siebie po imieniu.

Powieść prezentuje bogatą galerię postaci – jędrnych i wyrazistych, w tym także kobiety. A już taka np. Filipka to typ z takich, jakie większość zna z własnych miejscowości i z najbliższego otoczenia: zawzięta, pyskata, narzucająca swoje zdanie – nieważne, czy oparte o fakty, czy raczej wzięte z własnej fantazji i żądy opłotkowania innych. Baba z taką werwą mobilizuje innych we wsi, docierając wszędzie, nie wyłączając proboszcza i chętnie używając pseudoargumentów nawet z tzw. wyższej półki, czyli troski o moralność – choćby przez wymyślne konstruowanie intryg o zagrożeniu męskiej części mieszkańców przez Jolkę T.

Postać Jolki jest bardziej wyobrażeniem niż rzeczywistością. Owszem, była na wsi przez

(Dokończenie na stronie 18)

## Urzekający debiut powieściowy

(Dokończenie ze strony 17)

kilka miesięcy dziewczyna, która przybyła na pocz. lat 60., by „opiekować się schorowaną Klementyną Kowalik”, a ta polubiła ją jak córkę, w przeciwieństwie do mieszkanki doliny, choć Jolka już we wrześniu wyjechała. Lecz jeśli, jak Filipka, ma się w swej naturze podburzanie... Jej donos został tu zapisany wierszem: „Ja niżej podpisana / Donoszę – / Jolka T. kąpie się w stawie naga (...) Prowokując młodych do samogwałtów / A starych wpędza w gorączkę / Oczekiwania na cud (...) A głupi sołtys twierdzi / że to jest poezja” (s. 92).

Działania intrygantki odnoszą swoisty skutek. Niektóre gospodynie, aby wybić mężom z głowy mrzonki o „latawicy”, zapędzają ich do zajęć typowo niemieckich, bo „kto to słyszał, żeby chłop robotkami ręcznymi się parał” (s. 51). Jeszcze gorsze to, iż nie pozwalały swym ślubnym chodzić pod sklep na piwo. Lecz Jolka powtarza się jak mantra zarówno w męskich snach, jak jeszcze częściej w realnych zwiadach – intensywniej wtedy, gdy w wiosce już jej nie ma. To jednak nie tylko fantazje o erotycznym podłożu, lecz obrazowo przedstawione przeżycia i marzenia, niemożliwe do określenia przez samych jurnych chłopów buzujące tęsknoty do wyrwania się z codziennej monotonii i szarości. W krótkiej recenzji internetowej autorka nazywa tę powieść „snem nocy letniej” o dolinie Luciąży. Tak, nie brak tu prozy magicznej, w której znajdujemy baśniowość, fantastykę, poezję... Ale przede wszystkim jest to proza obyczajowa, świetnie penetrująca wieś, a zwłaszcza to, co się nazywa wiejskością, czyli specyficzny klimat życia ludzi na wsi, ich mentalność, wyłożone prostym językiem poglądy, oceny i charakterystyczne postawy. Autor osiąga to najczęściej przez dialogi, którymi powieść jest tak nasycona, że wywołuje wrażenie, iż ta proza stanowi niemal gotowy scenariusz filmu, nawet paroodcinkowego serialu.

Oczywiście, mnogość dialogów – często ciętych, z chłopskim mówieniem wprost, niekiedy rubasznych – ta mnogość jest inkrurowana pejzażami malowanymi słowem, poetycką metaforą, choć przez to nie traci cech prozy. Zwłaszcza pejzaż nadluciążański oraz włączone weń równocześnie myśli i odczucia bohaterów i narratora czynią tę prozę psychologicznie i estetycznie urzekającą.

Wspomniana autorka refleksji z internetu nazywa tę książkę „prozaiczną opowieścią”. Określenie to wydaje się niecisłe, bo to jednak powieść, a nie opowieść – chyba że każdą narrację prozą nazwiemy opowieścią. Zaś prozaiczność to nie to samo, co prozatorskość (autorka stosuje oba pojęcia przemiennie i równoznacznie, choć ich semantyka nie oznacza tego samego). Prozaiczność bowiem to zwyczajność, szarżowana, podczas gdy to jest książka żywa w treści, wartka w akcji, pisana z

charakterystyczną dla tego środowiska – ale czystą! – polszczyzną.

Jest także malowniczo barwna i obrazowa, nie pozbawiona magii poezji. Jeden tylko pejzażowy fragment: „...odbywa się zabawa w strażackiej remizie, a ja sterczę jak kolek na moście (...) gapiąc się w leniwie płynącą Luciążę. Lewy brzeg rzeki porośnięty trzciną i tatarakiem dosłownie zlewa się z Walkowym Uroczyskiem w taki sposób, że trudno dostrzec, gdzie kończy się rzeka, a gdzie bagno zaczyna. Nad brzegiem rzeki snuje się subtelna, niczym weselny welon, mgiełka. Orkiestra smyczkowa, składająca się z koników polnych, jeszcze nie zdążyła nastroić instrumentów” (s. 193). Jest to więc dobra proza, bez blichtru i pustego gadulstwa, jakie serwują nam tabloidy, a przy tym nie stroniąca od zadumy egzystencjalnej i krzepkości ludzi polskiej wsi.

Z tego wyphywa jeszcze inne spostrzeżenie. Otóż autor rzeczywiście przedstawia konkretne miejsce akcji, ową „dolinę nad Luciążą”, ale to najprostsze, dosłowne odczytanie. Jerzy W. Misztela to przecież człowiek doświadczony, także poeta. Wie zatem, jaką rolę w każdej treści spełnia metafora, podtekst czy uogólnienie. Toteż głębsza lektura powieści uwiadcza szerszy wymiar jej zawartości. Ta akcja sprzed pół wieku mogłaby się toczyć w różnych miejscach Polski wiejskiej – nad morzem, w górach, na tzw. Ścianie Wschodniej... Zmieniłyby się tylko pewne „rekwizyty”, czasem inna byłaby melodia rozmów, inny akcent zaśpiewu słów. Jednak powtórzyłyby się to, co najbardziej istotne – problemy tego czasu widziane z bezpośredniej bliskości tam nurtujące oraz – studium dojrzewania bohatera-narratora.

Można tę prozę zaliczyć do regionalnych, lecz pewne sprawy i zjawiska, szczególnie te miotające ludzką psychiką, są tu uniwersalne, choć – rzecz jasna – obrazujące społeczność wiejską. Gdyby to działo się w dużym mieście, część tej problematyki wyraźnie by się różniła od rzeczywistości przedstawionej w tym utworze. Na pewno jednak nie wszystko...

Książka J.W. Miszteli jest udanym debiutem powieściowym. Nie tyle dlatego, że zagląda – i to nietypowo – „w niewidoczne zakamarki regionu”. Bardziej dlatego, iż jest udana artystycznie, nie epatuje odbiorców ani nachalnym wrzaskiem, ani pływizną, ani śmiechem, choć jest pełna humoru. A jednocześnie daje sporo wiedzy o życiu wsi w określonym czasie. Osobiście wyrażam wdzięczność wydawcy, czyli LSW, za przychylnie potraktowanie i edycję tej książki. Nie jest to dziś edytorska norma.

Niewielki nakład powieści już wywołał zainteresowanie, a nawet żal wielu osób, że nie mogą jej nabyć. Kochani i zasłużony od wielu lat Edytorze, czekamy na dodruk! W zamian – jak mi wiadomo – czytelnicy otrzymają niebawem kolejną powieść tego autora, zainspirowaną urokliwym, posrebrzanym księżycem – miejscem nad podpiotrzkowską Luciążą.

RAFAŁ ORLEWSKI

Jerzy Włodzimierz Misztela, „Księżyc nad Luciążą”. Opracowanie redakcyjne: Jerzy Dobrzański. Projekt okładki, skład i łamanie komputerowe: J. W. Misztela. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2012, s. 218.

## „Z Bogiem” na meczu żużlowym dopingując Tomasz Golloba

*Jak żyć, premierze?* – pytał podwarszawski „paprykarz”, wybranego na ten urząd głosami jakiegoś tam promila wyborców, Donalda Tuska. *Jak żyć?* – pyta swojego (naszego) Premiera w najnowszym zbiorze opowiadań „Z Bogiem” **Stefan Pastuszewski** i o dziwo, gdy premier owego zbliżającego się do zera promila zazwyczaj milczy oddając się urokowi jazdy na nartach we włoskich Alpach, to ten Najwyższy autorytet bydgoskiego pisarza i poety nie uchyliła się od odpowiedzi. Premier Stefana Pastuszewskiego to nie VIP, którego nieopatrznie wywyższyła nasza wola, ale urzędnik-opiekun, taki, który rozumie, że „Rzeczywiście stworzył nas dla nas, nie dla siebie” („*Pan Bóg na żużlu*”, s. 52). Każda Jego ingerencja to przejaw troski o wspólne poszukiwanie odpowiedzi na stawiane przez uwierającą nas często dookolność egzystencjalne pytania. I nie są to odpowiedzi udzielane *ex cathedra*, lecz wspólne dochodzenie do wniosków w oparciu o ten jedyny, nie podlegający dyskusji wektor jakim jest Dekalog i „Pismo Święte”.

Po „Proboszczu”, to kolejna książka Stefana Pastuszewskiego będąca jednoznaczna deklaracją światopoglądową autora. Mam jednak wątpliwości, czy to wystarcza, by zaliczyć pisarza i jego dzieło do szerokiego – ale jednocześnie ograniczającego mocno w czasach rozpasanego *palikocia*, liczbę potencjalnych czytelników – nurtu prozy religijnej. Moim zdaniem nasza historia, nasze położenie geograficzne powodują, że alfabet, którym twórca do nas przemawia jest jedynym jaki ma uzasadnienie dla dzieł wartościowych, którym warto poświęcić naszą uwagę. Ten alfabet to bogata i z wielu źródeł czerpiąca tradycja kulturalna i światopoglądowa.

Kiedy czytam niektóre z zamieszczonych w tym tomie opowiadań odnajduję oprócz dogłębnej znajomości tradycji chrześcijańskiej także dalekie echo myśli chasydyckiej – a może ściślej, nie tyle sedno ich nauk, ale pewien specyficzny, pełen ciepłego humoru, sposób dyskusowania z Bogiem i wspólnego wraz z nim dochodzenia do prawdy. Opowieść jest dla Stefana Pastuszewskiego czymś więcej niż zwykłym odbiciem rzeczywistości i jej najgłębszego świętego sedna, które ukazane z dobroliwą ironią, wydobyte na światło dzienne staje się jakby nową rzeczywistością oczyszczoną z brudu przypadkowości i zła, tworząc normę

etyczną i kulturową. I taka to dopiero rzeczywistość pozwala cieszyć się autorowi i nam czytelnikom życiem takim, jakie jest, w każdej chwili jaką na tym świecie nam dano. Jak mało kto potrafi Stefan Pastuszewski być jednocześnie realistą i nie być pesymistą, chociaż jak pisze przekornie w jednym z opowiadań: „jakoś nie mogłem wyzbyć się swego naturalnego pesymizmu zwanego przeze mnie eufemistycznie realizmem” (*„Pan Bóg na żużlu”*, s. 60).

Powiedziałby ktoś „realizm magiczny”, ja jednak widzę w tym bardzo rzetelne czerpanie z bogatego dziedzictwa kulturowego, znajomość którego pozwala autorowi śmiało kroczyć wbrew utartym ścieżkom naszej pop-literatury uważającej desakralizację kultury za swoje naczelne zadanie.

Jak sugeruje tytuł tego zbioru opowiadań „Z Bogiem” Stwórca jest obecny niemal w każdym zdaniu tej wysmakowanej prozy. Każda życiowa czynność, każde wydarzenie ma swoje wyjaśnienie, swoją podbudowę moralną w Biblii. Autor chętnie z myśli Ojców Kościoła korzysta w sposób twórczy odnosząc je do codziennych życiowych potrzeb. Prawdziwym majstersztykiem są długie dysputy z Panem Bogiem prowadzone przy różnych okazjach. A okazji bywają nawet tak prozaiczne jak mecz żużlowy. Chociaż przepraszam, autor obraziłby się, on mieszkaniem grodu Tomasza Golloba na przymiotnik „prozaiczne”. Czyż mecz żużlowy może być prozaiczny? Toż to dla bydgoszczanina święto prawdziwe. Nic więc dziwnego, że wybierając się na mecz wyjazdowy swojej drużyny do Gdańska, nie będąc pewnym wyniku żużlowych zmagani postanawia zabrać ze sobą samego Pana Boga. Domyślamy się, że liczy po cichu na cudowne wsparcie w trudnych chwilach bydgoskich zawodników, chociaż zamiar ten próbuje przed nami ukryć mówiąc: „Podczas meczu lubię dzielić się z kimś swoimi spostrzeżeniami. Zatwardziali kibice do tego się nie nadają, bo każdy z nich ma świętą rację, w obronie której gotów jest się pobić. Pan Bóg natomiast w mądrości swojej każdego wysłucha” (*„Pan Bóg na żużlu”*, s. 50). I chociaż Ten początkowo wzbrania się: „Nic tam po mnie. Tam są tylko niskie uczucia” (ibidem, s. 50), czujemy, że to tylko przekomarzenie się z zagorzałym kibicem i że ta niecodzienna prośba zostanie spełniona. Udawany przez Stwórcę opór jest tu tylko po to, by z banalnego dla Najwyższego wydarzenia wyciągnął pisarz dla siebie i dla nas zupełnie niebanalne wnioski.

Podczas tego przedmeczowego przekomarzenia się z obu stron padają argumenty nie do odparcia. Ten zabawny dialog przypomina dialogi prowadzone przez chasydów ze Stwórcą, które wyraźnie unaoczniają nasze ludzkie drobne cwaniactwo, co w zestawieniu z wszechmądrością Najwyższego daje niezwykle komiczny efekt, wszyscy bowiem wiemy, że Pan Bóg bardzo dobrze zna nasze zamiary i tylko udaje, iż sile naszych argumentów ulega.

Kto lubi żużel powinien koniecznie sięgnąć po tę książkę, bo opis zmagani na torze jest

najwyższej jakości. Pisarz jawi się nam jako prawdziwy kibic i znawca tej dyscypliny sportu. To co się dzieje na torze jest jednak tylko pretekstem do zaprezentowania nam wysmakowanych, pełnych uroku dysput z Panem Bogiem, który wciela się raz w kibica-staruszka, innym razem w młodzieńca z niesformą czupryną. Bywa też, że Jego słowa antropomorfizuje zbiorowy podmiot jakim są kibice. Autor potrafił w takim wydawałoby się błahym wydarzeniu zamieścić dialogi pełne aforystycznej mądrości: „Widzisz Panie, jaka to frajda! – powiedziałem do Pana Boga. – Radość. A życie to przecież radość. Pan Bóg tylko uśmiechnął się. Słońce przebiło się przez chmury.” (ibidem, s. 56). Piękne jest to boskie przypomnienie nam czym jest prawdziwa radość. „Znajcie miarę!” – zda się napominać Stwórca darząc życiodajnym promieniem słońca.

Ciekawie przedstawiony jest w tym opowiadaniu problem korupcji stadionowej i prób ustawiania wyników. Na oszustwo działaczy drużyny gdańskiej (czyż można nie kochać Stefana Pastuszewskiego, gdy na moje gdyńskie serce leje miód w postaci słów: „Gdańska nikt nie lubi, nawet najbliżsi sąsiedzi, bo się strasznie rozpycha. To taka druga, nieco tylko mniejsza Warszawa”. (s. 53) – i pytanie: o moc Boga: „Skoro On jest tak wszechmocny, to dlaczego tyle zła płacze się po tym świecie” (ibidem, s. 58), na co odpowiada jeden z kibiców z wiarą w sprawiedliwość (coż, że bardzo utylitarną i jednostronną), iż: „Oszustwo ma krótkie nogi. Kto pod kim dołki kopie sam w nie wpada” (s. 58) – otrzymujemy bardzo ciekawie zarysowany problem zła, które ma nam służyć do zrozumienia dobra: „– A więc tak... Zło jako probierz dobra, impuls wywołający dobro, jego sparing-partner. Gdyby nie było zła, to by też nie było dobra – myślałem” (s. 58).

W tym fragmencie pojawia się nie po raz pierwszy na łamach prozy Stefana Pastuszewskiego problem zła, którego istnienie wydaje się niczym nieuzasadnione. Ale skoro jak przypomina nam autor cytując Pismo Święte „I spojrział Bóg na wszystko co uczynił, a było to bardzo dobre” (Gen 1,31) widać, że ten problem nie jest jasny nawet dla ludzi wierzących, bo skąd Bóg wiedział co jest dobre jeżeli wpięć nie poznał zła? I pytanie w związku z tym: Co było pierwsze – zło czy dobro? A jeżeli dobro, to czy warto było stworzyć jego antytezę „zło”? Czy to nie nadmiar boskiej perfekcji twórczej?

Urokliwe są te podejmowane przez nas maluczkich próby przechytrzenia Pana Boga i to Jego dobrotliwe udawanie, że On, zniechęcony starzec dał się przechytrzyć. Urokliwe jest też, że my sami dobrze wiemy, iż wszystko z woli Jego a to co między nami się dzieje to taka przyjęta konwencja, bez której pewnie i samemu Stwórcy byłoby ciężko znieść swoją bezbrzeżną samotność. A może ta gra to właściwie literatura?

Ziemski nasz narodek, dobrze o tej Bożej samotności wie i niestety często tę wiedzę wykorzystuje cwaniacząc przy każdej możliwej

okazji, jak na przykład bohater opowiadania „Pierzyna i dwa święte Franciszki”, który nie otrzymawszy rozgrzeszenia do czasu dopóki nie zerwie z nałogiem udaje się do innego kościoła, innego księdza i konfesonau, by zasięgnąwszy opinii kościelnego wyspowiadać się u księdza zwanego z powodu swej dobroduszości świętym Franciszkiem. To zupełnie jak z tym chorym, który wychodząc od lekarza z diagnozą, że może wypić tylko jeden kieliszek dziennie udaje się do następnego konowala i kolejnych, by po każdej takiej wizycie uczynić zadość diagnozie i wołę lekarza uszanować wypijając każdorazowo ten jeden przypisany kieliszek.

Niekiedy ten ustawiczny dialog z Bogiem zmienia się w Jego nieustanny monolog. Zdaje się, że w pewnych sytuacjach mamy zwyż widząc nieuchronność tego co się stało i naszą wobec niej bezsilność mówić: „–Bóg tak chciał” (*„Co nie?...”*, s. 35) w swojej pysze obarczając całą winą Boga, nie bacząc, że nie tyle chciał ale: „Bóg tak musiał” (ibidem). W opowiadaniu „Co nie?...” otrzymujemy takie przypomnienie nam nie tylko o prawdach wiary, ale także o naszych ziemskich ułomnościach. Bóg pozostawia nam znaczny margines swobody w decydowaniu o własnym losie, jednak zdarza się iż zbyt natrętnie tej wolności nadużywamy. Ojciec syna, który zginął w wypadku drogowym musi dopiero ujrzyć swoje postępowanie opisane przez Boga, by zrozumieć własne błędy, także te wychowawcze. Może, gdy zrozumie własną pychę, przedmiotowe traktowanie własnego dziecka, pojmie, jak żyć? „Pytasz więc, jak żyć... Nie wiem, czy ci coś doradzić, bo ty przecież żadnych rad, pełen pychy, nie słuchasz, ale skoro pytasz... Nie pragnij niczego dla siebie i gódź się z tym, co się stanie. Przyszłość ludzi i twój własny los winny pozostać ci nieznane. Żyj tak, abyś był gotów na wszystko. Bądź uważny, staraj się być szczęśliwy. W zgiełku ulicznym, zamęcie życia, zachowaj pokój ze swą duszą. I pozostań w pokoju z Bogiem, cokolwiek sądzisz o Jego istnieniu.” (*„Co nie?...”*, s. 45) Czy tu czasem nie przemawia przez Pana Boga sam Pan Cogito?

Stefan Pastuszewski jest doskonałym obserwatorem naszej rzeczywistości. Obserwatorem krytycznym i chyba niezbyt ufającym naszym ziemskim umiejętnościom skoro w naprawę tej rzeczywistości naszymi własnymi siłami nie za bardzo wierzy angażując do tego celu Boga. Widzi niedoskonałość III RP, jest krytyczny wobec nierówności społecznych i chociaż próbuje zrozumieć obie strony konfliktu, tych nowobogackich, którym przemiany ustrojowe wyszły na dobre i tych niezaradnych, których bieda została spauperyzowana jeszcze dotkliwiej – opowiada się za tymi pokrzywdzonymi mówiąc słowami bohatera opowiadania „Na strychu” do kuzyna, kamienicznika: „Mając więcej, masz większą możliwość, a nawet obowiązek zmiany tego świata” (s. 18).

(Dokończenie na stronie 20)

## „Z Bogiem” na meczu żużlowym dopingując Tomasza Golloba

(Dokończenie ze strony 19)

Czy jednak przekona tego, któremu przyświeca hasło wymyślone w zupełnie innym celu „Róbta, co chceta!”, a przez zdemoralizowane społeczeństwo rozumiane jako „Bierza, co chceta”? Czy przekona kogoś, kto podpierając się powierzchownie rozumianym liberalizmem uważa, że: „Bieda musi być. Żeby coś na tym świecie się działo, muszą być dwa bieguny i napięcie między nimi. Dopiero wtedy jest ruch, a jak istnieje ruch, to istnieje życie?” (s. 18).

Filozofia nowobogackiego „Pieniądz zszedł z góry na dół, dziś każdy może po niego sięgnąć” (s. 18) jest doskonałym usprawiedliwieniem własnego braku skrupułów. Także braku skrupułów w kupowaniu przyjaźni i kupowaniu racji: „Rafał to, czy nie Rafał?” – pyta narrator opowiadania „Na strychu”. „Rafał – odpowiada stowa, od kilku sekund paląca dłoń Czesława” (s. 19).

Blichtr naszego postępowania, ujawniający się nawet w chwilach tak intymnych jak pogrzeb bliskiej osoby budzi opór pisarza w opowiadaniu „Nie! Nie! Nie!”. Komercjalizacja rytuału pogrzebowego każe wdowie zamiast modlitwy i rozpamiętywania pięknych chwil spędzonych u boku męża, zastanawiać się czy firma, której powierzyła pochówek dobrze wywiązuje się ze swojego zadania: „Dobrze, że tę firmę wynajęliśmy, mają zryk” (s. 4). Ta myśl, w zestawieniu ze zdaniem podsumowującym całe życie męża: „- Bogdan gonił nie wiedzieć za czym” (s. 8) brzmi tutaj szczególnie ironicznie.

Czy w tym zdechrystianizowanym świecie nie ma już niczego wartościowego? Na szczęście autor, który jak już pisałem uważa, że zło to tylko probierz dobra, ukazuje nam też przykłady postępowania ekumenicznego. Bezinteresowność sprzedawczyni opłatków ze sklepu z dewocjonaliami przeciwstawia autor interesowności firmy pogrzebowej, której przedstawiciele wykorzystują nawet moment pogrzebu do reklamowania własnych usług, czy też interesowności kamienicznika Rafała z opowiadania „Na strychu”. Zło zdaniem autora nie może triumfować w świecie, który pisarz poznaje poprzez pisanie i dysputy z Bogiem: „Lubię poznawać świat poprzez pisanie. Literatura jest dla mnie narzędziem badawczym. Żeby coś napisać trzeba myśleć, a kiedy człowiek myśli, to bada” („Wrona i piorun”, s. 83). I wyciąga wnioski: „Cały świat – widać – przepełniony jest miliardami zegarów, z których każdy wymierza inny czas. Czas pracy i odpoczynku, radości i smutku, kropli słońca i plamki guana” (ibidem, s. 84). Stefan Pastuszewski nie chce jak widać martwić czytelnika i zło, które zauważa w tym świecie jest dla niego

tylko małą plamką guana w morzu piękna i bożej roztropności. Oby się nie mylił!

Przyznaję, chciałem zauroczony najnowszym zbiorem opowiadań bydgoskiego autora napisać recenzję, ale pomny na słowa Pisma: „Patrzyli oczami, a nie widzieli, słuchali uszami, a nie rozumieli” (Mk 4,2) przypomniane przez autora (s. 89) uznałem, że nie jestem osobą kompetentną: „Uświadomiłem sobie, iż to, że nie ma nic ukrytego co by nie wyszło na jaw, dotyczy chyba Boga. Bo gdyby człowiek wszystko ujrzał, to by zaraz sądził, a przecież nie sądzić żebyście nie byli sądzeni”.

Nie moją więc rzeczą sądzić tego, który rozmawia na co dzień z samym Stwórcą. Czy jest on winien dopuszczenia się grzechu pychy? Wrona z kończącego tomik opowiadań „Wrona i piorun” winnych wskazała, ale autora opowiadania, którego było, że skazywała WRON-a, wskazała tak tylko troszeczkę, specjalnie guanem nie piętnując. Bo ten bydgoski, miły Bogu pyszałek odpowiadając nam na pytanie „Jak żyć?” udziela odpowiedzi jednoznacznej, jakżesz miłej Stwórcy: „Z Bogiem”, a swoją predylekcją do prowadzenia z nim długich dysput pozwala mu zapomnieć o Jego bezbrzeżnej boskiej samotności.

Nie piszę więc recenzji, a tylko próbuję każdego, kto ma poczucie humoru i lubi sobie razem z Panem Bogiem pożartować zachęcić do przeczytania tego urokliwego zbioru dwunastu opowiadań. Dlatego też nie podaję wyniku meczu Jutrzenki Polonia z Lotosem Wybrzeże, by nie psuć Czytelnikowi przyjemności dowiedzenia się tego od kibica, który na pomoc swojej ukochanej drużynie udał się w podróż do Gdańska. Z kim? – „Z Bogiem”!

ZBIGNIEW RADOŚLAW SZYMAŃSKI

## Trylogia księdza Roberta Nęcka

Doprawdy imponująca jest aktywność publicystyczna ks. dra **Roberta Nęcka**. Świadczą o tym trzy ostatnio wydane książki opatrzone jego nazwiskiem. Na co dzień ks. dr Robert Nęcek jest wykładowcą na Uniwersytecie Papieskim w Krakowie, a także jest rzecznikiem prasowym Archidiecezji Krakowskiej, korespondentem Katolickiej Agencji Informacyjnej i konsultorem Rady ds. Środków Społecznego Przekazu Konferencji Episkopatu Polski. Ostatnio jego nazwisko „firmuje” trzy książki.

Pierwszą z nich jest „Mobbing w białych rękawiczkach”. Co to jest mobbing? Otóż z języka angielskiego znaczy „napaść” lub „zastraszenie”, oznacza stwarzanie w miejscu pracy wrogiej i nieetycznej atmosfery, to proces wrogiej komunikacji, jaka zachodzi między współpracownikami i między przełożonym a podwładnymi. Jest to izolowanie i ignorowanie, rozpowszechnianie oszczerstw i wyśmiewanie, zlecenie nadmiernej ilości zadań, a w końcu

groźenie, mające na celu poniżyć najczęściej kompetentnego i uczciwego pracownika, i zmusić go do odejścia z pracy. Mobbing jest ostatecznie aktem przemocy.

Kardynał Dziwisz bardzo krytycznie i ostro wypowiada się na temat mobbingu i w tej samej książce stwierdza: „Kościół katolicki nie może nie zauważać tej pracowniczej plagi, która w sytuacji kryzysu zatacza coraz szersze kręgi (...) wykorzystywanie, znęcanie się nad człowiekiem, sprzeciwia się nie tylko podstawowym prawom pracowniczym, ale nade wszystko nie mieści się w optyce Ewangelii i przepowiadania Kościoła”.

Niejako w mocnej opozycji do problematyki mobbingu stoi druga książka ks. R. Nęcka. Nosi prosty i wymowny tytuł „Przyjaźń”. Jest to zbiór krótkich, zmetaforizowanych, prawie poetyckich powieści-przypowieści przekonywująco i pięknie dowodzących, że przyjaźń jest dojrzałą formą miłości. W swych filozoficzno-poetyckich rozważaniach ks. Nęcek powołuje się na sprawdzone autorytety moralne. Jednym z nich jest ks. Edward Staniek, który powiada: „Prawdziwa przyjaźń podobna jest do lotu orłów. Nie można ich na siłę powiązać, gdyż ich spotkanie opiera się na mocy skrzydeł rozpostartych w przestworzach wolności, nie zajmują się łowieniem much, lecz razem podążają w kierunku słońca, a ich relacje powiązane są zaufaniem złożonym w sercach. Dlatego przyjaźń, która chce żyć, musi mieć jedną twarz”.

Ks. Nęcek dobrze zna wagę tych słów i pewnie dlatego zacytował ks. Edwarda. Jest to jakby swoiste *resume* tomu „Przyjaźń”.

Do prawdziwej przyjaźni trzeba i warto dorastać. Ta myśl autora sygnalizowanego tomu przyświeca wielu tekstom. Warto przeczytać szczególnie dwa utwory zamykające zbiór: „Przyjaźń jak kocięta?” i „Przyjaźń jak myśliwy”. Poszerzają one w sposób istotny i odkrywają problem przyjaźni, bez której człowiek nie może egzystować i budować wartościowego życia.

Trzecia książka „Bitwa o Kościół” stworzona została przez grupę bardzo aktywnych dziennikarzy, wśród których jest także ks. Robert Nęcek. O współczesnym polskim Kościele rozmawiają: Piotr Kraško, Kamil Durczok, Katarzyna Wiśniewska, Agnieszka Mrozek i ks. Bartłomiej Król. Wymieniają opinie i obserwacje na temat polityki na ambonie, Radia Maryja i ojca Rydzyka, autorytecie w Kościele, in vitro, Kościelnej Komisji Majątkowej, Episkopatu, krzyży przed Pałacem prezydenckim, celibatu, gruntów Kościoła, finansów w Kościele, godności ofiar pedofilii i molestowania seksualnego, ujawniania akt księży współpracujących z SB, pokolenia JPPII.

Książka „Bitwa o Kościół” nie jest próbą wzbudzenia emocji – pisze we wstępie dyrektor Wydawnictwa „Salwator” ks. B. Król SDS – nie jest też szukaniem i oskarżaniem innych. Łatwo przewidzieć, kto będzie zwycięzcą bitwy o Kościół...

EMIL BIELA

## Filozofia codziennosci (70)



*Szanowni Państwo, rozpoczynamy druk kolejnych rozważań prof. Marii Szyszukowskiej z cyklu „Filozofia codzienności”. Od tego numeru „Gazety Kulturalnej” przedstawiamy „Etykę”. W sposób syntetyczny Pani profesor zarysowuje rozmaite teorie etyczne, które zostały sformułowane przez europejskich filozofów...*

### Teorie wartości

Świat bytu i świat wartości to dwa odrębne światy. Przyroda jest obojętna w stosunku do wartości. Niszczy niejednokrotnie to, co z punktu widzenia wartości powinno trwać dłużej. Świat ideałów zaczyna się wówczas, gdy przyznaje się czemuś wyższą wartość niż użyteczność, korzyść, zysk.

Nie ma okresu historycznego, w którym wartości kultywowane przez poszczególne narody byłyby identyczne. Współpraca między państwami jest możliwa pod warunkiem odnalezienia jakiegoś wspólnego zakresu wartości. Istnienie ludzkości wobec groźby zagłady atomowej powinno stać się wartością wspólną wszystkich narodów. Człowiek średniowiecza miał ustalony system wartości. Ocena dobra i zła, ugruntowana w poglądach religijnych, była jednolita. Człowiek odrodzenia, czy człowiek oświecenia wyznawał inne wartości niż człowiek średniowiecza, czy człowiek XX wieku. Ale przekazywana tradycja kulturowa staje się swoistym spoiwem łączącym ze sobą pokolenia.

Nieposiadanie żadnego zespołu wartości jest odchyleniem od normy, rodzajem psychopatii. Zapewne zresztą każdy wyznaje jakieś wartości, w tym moralne, chociaż nie zawsze jest tego świadomy. Fakt powszechnego oceniania poczyną otaczających nas ludzi, wskazuje bezspornie na to, że każdy z nas ma jakąś skalę wartości, która pozwala mu wyrokować o innych oraz o zjawiskach świata w którym żyjemy.

Istniejąc każdy z nas podejmuje określone decyzje, dając tym samym wyraz własnej hierarchii wartości. Nie tylko poznajemy wartości, ale także je tworzymy. Poglądy na wartości oraz ich hierarchie są odmienne w rozmaitych grupach ludzkich. Ponadto wytworzyły się

podwójne systemy wartości: uznawane werbalnie, złożone najczęściej z wzniosłych norm i oparte na szlachetnych ideałach oraz systemy stosowane rzeczywiście w praktyce.

Wartości nie da się wydedukować z samego poznania. Nasza emocjonalna postawa wobec świata narzuca wiarę w określone twierdzenia aksjologiczne, zdarza się, że nawet wbrew krytycznemu poznaniu. Ścisłe będzie więc następujące stwierdzenie: oto mój system wartości, który wyznaję w wyniku przemyśleń, przeżyć i doznań.

Geneza świata wartości zawiera się – jak pisali niemieccy filozofowie Simmel, a potem Radbruch – w oceniającej postawie umysłu. Żadna wartość nie jest immanentna rzeczywistości empirycznej. Sądy o wartościach nie wynikają z twierdzeń dotyczących bytu. Oceny, w tym ocena dobra, nie mogą w faktach znaleźć uzasadnienia, ale nie przeczy to uwarunkowaniu ocen faktami rzeczowymi. Nie ma wartości takich, łącznie z dobrem, których ważność byłaby obiektywna oraz absolutna i niezależna od rozumu, uczuć i woli człowieka.

Wartości zależą od podmiotu poznającego oraz od przedmiotu poznania. Oceniając zgodnie z własnym światopoglądem, ustalamy dodatkową charakterystykę przedmiotu.

Subiektywizm aksjologiczny jest to pogląd według którego przedmiot jest wartościowy jedynie w zależności od jakiegoś podmiotu. Odmianą subiektywizmu jest konwencjonalizm. Według konwencjonalizmu wartości ustala się w drodze umowy społecznej. Postacią subiektywizmu jest pogląd wskazujący zależność wartości od właściwości podmiotu, czyli człowieka. Bywa, że wartość dodatnią przypisuje się nie temu, co odpowiada pragnieniom lecz temu, co rozum podpowiada jako wartościowe. Subiektywizm aksjologiczny przybiera postać bądź indywidualistyczną, bądź uniwersalną. W pierwszym przypadku podmiotem jest jednostka, natomiast w drugim – zbiór jednostek. Według subiektywizmu indywidualistycznego wartość jest tym, co odpowiada bądź uczuciom, bądź rozumowi danego człowieka. Subiektywizm uniwersalistyczny może przejawiać się w poglądzie, że większość decyduje o wartościach. Dodam, że według potocznego poglądu przyjmuje się wartości jako obiektywne.

Wracając do klasyfikacji wartości, bywa wyodrębniane stanowisko, które określa się mianem kognicjonizmu. Głosi ono, że wartości są przedmiotem poznania intuicyjnego albo dyskursywnego. Natomiast antykognicjonizm głosi, że wartości są określone nie przez stosunek poznawczy lecz wartościujący. Mianowicie są rezultatem reakcji emocjonalnej lub wolitywnej człowieka wobec danego przedmiotu.

Jeżeli uznaje się wartości jako wynik oceny człowieka, to możliwe są dwa zasadnicze stanowiska. Albo uznaje się oceny za wynik postawy oceniającego, albo nadaje się ocenianiu charakter instrumentalny. Wartość powstaje więc albo jako wynik oceny właściwej, albo utylitarnej, z punktu widzenia praktycznego życia, a ściślej pożytku, który przynosi. Tu można liczyć w

niektórych przypadkach na powszechną zgodę. Oceny właściwe mogą być intersubiektywne w granicach danego typu kultury.

Zdaniem **relatywistów** wartości są zależne od miejsca i czasu, inaczej określonej kultury. Z kolei **subiektywiści** głoszą, że wartości są zależne od kogoś. Pochodzą od podmiotu. Bez człowieka przedmioty nie byłyby ani dobre, ani złe. Odmianą subiektywizmu jest konwencjonalizm oraz uznanie zależności wartości od nakazów Boga.

Zwolennicy **bezwzględnej teorii wartości** twierdzą, że przedmioty mają w sobie wartość. **Sensualistyczna** teoria wartości głosi, że oceniamy w stanach zmysłowej przyjemności i przykrości. A więc wartość to tyle, co przyjemność. **Pragmatyczna** teoria wartości uznaje, że wartościowe jest to, co użyteczne. Wartości mają praktyczny związek z postępowaniem.

Wartości bywają pojmowane jako cechy przysługujące przedmiotom. Bywają poglądy przyznające wartościom byt. Przykładem klasycznym tego stanowiska jest idealizm obiektywny Platona, który substancjalizuje idee. W świecie idei najwyższą hierarchicznie jest idea dobra. Spotyka się też pogląd, że wartości nie mają żadnych odpowiedników w rzeczach. Jeszcze inni przyjmują, że wartości są cechami jakościowymi rzeczy, ale tylko w odniesieniu do oceniającego podmiotu. A więc wartości są to cechy przypisane przez podmiot, albo grupę podmiotów pewnemu przedmiotowi, jeśli ta cecha czyni przedmiot dobrem lub rzeczą pożądaną.

Przedmiot może być pożądanym dla niego samego i staje się wówczas dobrem właściwym. Może być pożądanym w charakterze środka do dobra właściwego. Wtedy jest dobrem niewłaściwym.

Ocenianie, to znaczy orzekanie, że dany przedmiot jest wartościowy. Wartość, to rodzaj odpowiedniości między naturą rzeczy ocenianej a pragnieniami, czy potrzebami człowieka. Pojęcie dobra jest wieloznaczne. Niektórzy filozofowie utożsamiają je z tym, co sprawia człowiekowi przyjemność. Inni utożsamiają dobro z użytecznością. Jeszcze inny pogląd głosi, że dobro powstaje jako rezultat umowy, bądź jest tym, co większość uznaje za dobro. Dobro bywa też pojmowane jako składnik świata idei, albo utożsamiane z Bogiem. Są poglądy głoszące, że dobro powstaje jako rezultat dokonanego przez jednostkę wyboru, pod warunkiem, że wybór ten uznaje się za powszechnie ważny dla całej ludzkości. Jeszcze inni zespalać dobro z takim motywem ludzkiego działania, któremu chciałoby się nadać wartość powszechną, obowiązującą każdego. Nihilizm zaprzecza istnieniu wartości w tym dobra, czyli wartości będącej przedmiotem dociekań etyki. Agnostycyzm głosi niepoznawalność wartości.

cdn.

*Maria Szyszukowska*

ANDRZEJ BARTYŃSKI

## Rozmowy na globie – człowieka o sobie



### Jeden wiersz

Panie Autorze! Czy pamięta pan swój wiersz *On nie pamięta*, opublikowany w tomie pańskich lwowskich wierszy pt. *Wróć bo czereśnie?* Kończył się tymi słowami:

*Jak liście z drzewa spadły emocje  
dzisiaj są w modzie inne dewocje  
minęło pół wieku i wiele pomników  
młody człowieku ucz się języków*

Więc ja, Daniel Spaniel, asystent filozofa pana Nietwora postanowiłem podporządkować się wskazówką poety i zabrałem się do tego angielskiego. Wszyscy się go uczą. Dzieci, emeryci, zakonnice, nierządnicę, sportowcy, naukowcy, Chińczycy, lotnicy, marynarze, żeglarze, delfiny, rekiny, papugi, nie mówiąc już o esperantystach. Wywód bardzo długi.

Panie Autorze – czy pan mnie słucha? Myślę sobie o wieży Babel. Tam najprostszym językiem, chyba był język migowy, a ci, którzy byli niewidomymi musieli milczeć. W swoim milczeniu stawali się głośnymi bohaterami surrealizmu. Umysły tych ludzi nie posiadających światła w słońcu ciemności obmacywały świat, czerwone maki swoich pragnień, rozkwitające piersi niewidzianych kobiet, białe jaśminy jasných marzeń i żółte jaskry złotych myśli niezapisanych pismem Braille-a, bo jeszcze go nie było. Tylko słońce ciemności świeciło migowym językiem absurdu. Ja, Daniel Spaniel, chociaż nie jestem niewidomy też stałem się bohaterem surrealistycznym. Wymyśliłem i napisałem po angielsku mój pierwszy wiersz: *Mój żal – My regret*. Starożytni Rzymianie mawiali, że każdy człowiek rodzi się poetą ale nie każdy na poetę wyrasta. Co będzie ze mną? Nowy dźwięk słów. Nowa sinusoida rytmu. Posłuchajmy.

### My regret

*Ought I also to get  
more the other things yet?  
For example so as  
whisky, gin, wine, beer  
and some orange juice  
so on one my tooth  
I can say today  
It's all right o.k.  
We can go, can go  
but where to?  
I don't know  
do I want anything?  
Of course I think  
but what is it?  
I won't tell you  
because in the world  
there's no world  
which is true  
repeat please  
my dear once more  
there is no!  
there is no!*

### Mój żal

*Czy ja też powinienem otrzymać  
jeszcze więcej innych rzeczy  
np. takich jak:  
whisky, dżin, wino, piwo  
i trochę pomarańczowego soku  
tak na jeden ząb  
Dzisiaj mogę powiedzieć  
że wszystko w porządku, o.k.  
możemy sobie iść, możemy  
ale dokąd, ja nie wiem  
czy ja czegoś chcę, czegoś pragnę  
oczywiście tak  
ale co to jest, tego ci nie powiem  
ponieważ na świecie  
nie ma żadnego świata który jest prawdziwy  
proszę cię powtórzyć  
mój drogi, jeszcze raz  
prawdziwego świata  
nie ma na tym świecie*

I co z tego wynika? Wynika z tego to, że w tej chwili otwierają się prawdziwe drzwi i do salonu mych myśli wchodzi Wiosna o włosach złotych jak złoty potok i oczach, jak dwa niebieskie morza, a w ręku, czerwonej róży kwiat.

– Ach Danielu Spanielu! Cóż to za piękny wiersz tego zagubionego w życiu żeglarza. Przeczytał mi go dziś rano przy porannej kawie Pan Nietwór. Napisał ten wiersz po angielsku, mając sześć lat, gdy po raz pierwszy, samotnie na żagłowie opływał dookoła nasz świat.

– Wiosno! To nie możliwe – zawołał Daniel Spaniel. Ten wiersz ja napisałem dzisiaj rano o godzinie szóstej i przed chwilą czytałem go naszym autorowi.

– Przecież naszego Autora tu nie ma. Tylko ty i ja. Tylko ty i ja.

– Wiosno, kiedy wreszcie przyjdzie Pan Nietwór? Muszę natychmiast sprawę wyjaśnić.

– Pan Nietwór nie przyjdzie. Wyjechał do Polanicy Zdroju. Zaprosili go, burmistrz Polanicy Jerzy Terlecki i Przewodniczący Rady Miejskiej Zbigniew Puchniak, z tego względu, że Polanica otrzymała bardzo wysoką doroczną

nagrodę, prestiżową nagrodę *Godło Teraz Polska rok 2012*.

– To ja Daniel Spaniel z powodu tej prestiżowej nagrody mam żyć w nieprawdzie?

– Dziwi mnie to Danielu, że ty się tak bardzo dziwisz.

– Naprawdę ani ja, ani ty, ani filozof Pan Nietwór nie jesteśmy prawdziwi. Zostaliśmy zmyśleni. Prawdziwy jest nasz autor. Autor wiersza *On tego nie pamięta*. Zapamiętaj mój drogi i powtórz jeszcze raz, nie ma żadnego prawdziwego świata na tym świecie.

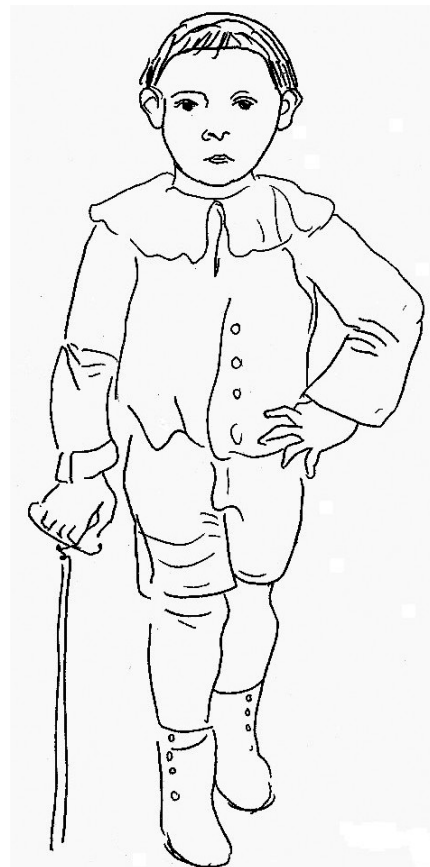
– Idę po butelkę whisky. Wypijemy za naszą przyszłość. Żebyśmy się nie rozplynęli we mgłę zapomnienia przy stole nicości. To nam dobrze zrobi. Zapamiętaj młody człowieku i ucz się języków.

Po krótkiej chwili wróciła Wiosna z butelką whisky i dwoma kieliszkami. Jeden kieliszek twój a drugi kieliszek mój – powiedziała. A trzeci kieliszek mój – powiedział... Kto powiedział? Oczywiście, filozof Pan Nietwór, a kieliszek już trzymał w ręku. Tak się często zdarza, że na tym świecie, wszyscy poeci piszą ten sam, jeden wiersz. Nam się to też zdarzyło, drogi Danielu. W jedności siła. Wypijmy za siłę jedności, jedności z naszym autorem w salonie mych myśli. Więc wzięli i wypili pod parasolem wzajemnego śmiechu.

– A ja? A ja napiszę drugi wiersz – powiedział Daniel Spaniel i stanę się poetą.

– Początkującym – powiedziała Wiosna.

– Salonowym – powiedział Pan Nietwór. I stuknęli się wierszami kieliszków. Albo kieliszkami wiersza o smaku angielskiego ziela.



Rys. Barbara Medajska

## POEZJA

**Zbigniew Chojnowski**, „Blizniego, swego”. Zdjęcie na I stronie okładki: Ewa Wieliczko. Fotografia na IV stronie okładki: Ryszard Kocof. Biblioteka „Toposu”, tom 72. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu”, Sopot 2012, s. 56.

**Teresa Ferenc**, „Widok na życie”. Na I stronie okładki fotografia autorki: Zbigniew Jankowski. Na IV stronie okładki fotografia autorki: Tadeusz Dąbrowski. Biblioteka „Toposu”, tom 73. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu”, Sopot 2012, s. 64.

**Elżbieta Gałęzewska-Krasińska**, „tylko dotykać czule opakowań”. Redakcja: Maria Magdalena Poczaj. Projekt okładki: Natalia Krekora. Grafika: Tomasz Krasiński. Seria Wydawnicza LIBRA, nr 38. Związek Literatów Polskich, Oddział Poznań, Poznań 2012, s. 58.

**Witold Hreczaniuk**, „Krajobrazy bliskie i dalekie”. Okładka i grafiki: Danuta Hejneman. Towarzystwo Słowaków w Polsce, Kraków 2012, s. 72.

**Wojciech Kawiński**, „Słowo po słowie”. Układ typograficzny oraz projekt okładki: Odys J. Korczyński. Reprodukcyjne na okładce: Ivana Pančáková, cykl *Prywatne ikony*, 2009. Wydawnictwo i Drukarnia Towarzystwa Słowaków w Polsce, Kraków 2012, s. 112.

**Sławomir Andrzej Keller**, „Dotyk kropli”. Projekt okładki i ilustracje: Dorota Olszewska. Wydawnictwo Astra, Łódź 2012, s. 102.

**Benedykt Koziół**, „Słowem w wodę. Wiersze wybrane”. Wstęp: Jan Zdzisław Brudnicki. Redaktor: Stanisław Nyczaj. Projekt okładki: Aleksander Yasin. Zdjęcie autora: Kamil Koziół. Oficyna Wydawnicza STON2, Kielce 2012, s. 144.

**Krystyna Łukasik**, „Znowu prawda”. Projekt okładki Kornel Maliszewski. Mamiko Apollonia Maliszewska, Nowa Ruda 2012, s. 102.

**Zbigniew Majewski**, „Olśnienie”. Redaktor: Stanisław Grabowski. Okładka i opracowanie graficzne: Barbara Kuropiejska-Przybyszewska. Wydawnictwo PATI, Warszawa 2012, s. 96.

**Karol Maliszewski**, „Ody odbite”. Opracowanie graficzne: Karolina Maria Wiśniewska. Fundacja na Rzecz Kultury i Edukacji im. Tymoteusza Karpowicza, Wrocław 2012, s. 68.

**Andrzej Niewiadomski**, „Dziki lilie”. Autor okładki i koncepcji graficznej: Piotr Zdanowicz. Biblioteka Poezji Współczesnej, tom 43. Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2012, s. 106.

**Wojciech Piotrowski**, „Pożegnanie z poezją”. Wydawnictwo ASTRA, Łódź 2012.

**Józef Jacek Rojek**, „Elegie i poematy”. Opracowanie graficzne: Anna Górka. Wydawca: Kowalski Pro-Media, Olsztyn 2012, s. 84.

**Karol Samsel, Krzysztof Schodowski**, „Altissimum Abiectum”. Ilustracje, opracowanie graficzne: Krzysztof Schodowski. Zdjęcia oraz projekt okładki: Mariusz Syperek. Na okładce fragment grafiki Krzysztofa Schodowskiego. Zaulek Wydawniczy Pomyłka, Szczecin 2012, s. 102 + płyta CD.

**Jadwiga Stróżykiewicz**, „Wielbłąd przemieszcza horyzont”. Grafiki: Nina Ciesielska. Projekt okładki: Igor Stróżykiewicz. Zdjęcia: Roman Góralski, Grzegorz Smoliński, Igor Stróżykiewicz. Urząd Miejski w Barcinie, Barcin 2012, s. 76.

**Ewa Szczawińska**, „Pieśni świętej małpy”. Na okładce obraz autorki *Księżniczka-Księżniczka*. Oficyna Wydawnicza ŁośGraf, Warszawa 2011, s. 62.

**Ewa Szczawińska**, „Wino... z dzikiej róży”. Na okładce obraz autorki *Książę Drakula*. Oficyna Wydawnicza ŁośGraf, Warszawa 2011, s. 200.

**Ewa Szczawińska**, „Łzy lapis lazuli”. Na okładce obraz autorki. Oficyna Wydawnicza ŁośGraf, Warszawa 2012, s. 138.

**Wisława Szymborska**, „Wystarczy”. Projekt okładki i stron tytułowych: Joanna Rusinek. Układ graficzny i typografia: Frakcja R. *Biblioteka Poetycka*, tom 74. Wydawnictwo a5, Kraków 2012, s. 56.

## PROZA

**Henryk Bardijewski**, „Przelotna radość”. Projekt okładki: Dywiz. Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2012, s. 276.

**Jolanta Czartoryska**, „Odejsz w cień”. Projekt okładki: Barbara Kuropiejska-Przybyszewska. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2012, s. 204.

**Rafał Czoch**, „Maks”. Inicjatywa książkowa „Pod dwoma kotami”, Kraków 2011, s. 176.

**Renata Jabłońska**, „Zabawy białych plam”. Projekt okładki i stron tytułowych: Misior. Wydawnictwo „Werset”, Lublin 2012, s. 154.

**Kazimierz Orłoś**, „Dom pod Lutnią”. Projekt okładki i stron tytułowych: Witold Siemaszkiewicz. Zdjęcie na okładce: William Gottlieb / CORBIS / Fotochannels. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2012, s. 332.

**Stefano Redaelli**, „Trzydziesty kilometr”. Prze-

łożyła: Edyta Tkaczyk-Borówka. Projekt okładki: Justyna Kulaga-Wytrych. Zdjęcie na okładce: Gary Blakeley, shutterstock.com. Wydawnictwo „JEDNOŚĆ”, Kielce 2012, s. 206.

**Jurata Bogna Serafińska**, „Żegnaj, Myszek”. Wstęp: Krystyna Kulman. Ilustracje: Danuta Michalska. Autor ekslibrisu: Jerzy Napieracz. Projekt okładki: Artur Kurek. Fotografie: Maria Eliaz. Wydawnictwo ARMAGRAF, Krosno 2012, s. 110.

**Andrzej Stasiuk**, „Grochów”. Ilustracje, projekt okładki i stron tytułowych: Kamil Targosz. Fotografia autora: Maksymilian Rigamonti. Projekt typograficzny: Robert Oleś / D2D.PL. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2012, s. 96, w tym ilustracje.

**Andrzej Turczyński**, „Miniatura z gazetą”. Projekt okładki: Wojciech Madziarz/Studio Graficzne PERFECTCOLO. Na I stronie okładki miniatura Kamela ad-din Behzad *Polowanie na gazy*, 1. poł. XVI w., Iran. Na IV stronie okładki fotografia grobowca Rabi i Ghazdari w Ma-zar-i Szarif, Afganistan. Millennium Bogdan Gutkowski, Koszalin 2012, s. 226.

## NAUKA, KULTURA, SZTUKA

**Tadeusz Drewnowski**, „»Happy end« i nawałnice. Wspomnienia”. Projekt okładki i stron tytułowych: Ewa Gray. Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2012, s. 166.

**Leszek Engelking**, „Chwył metafizyczny. Vladimir Nabokov, estetyka z sankcją wyższej rzeczywistości”. Projekt okładki: Barbara Grzejszczak. Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2011, s. 476.

**Janusz R. Kowalczyk**, „Wracając do moich baranów”. Opracowanie graficzne: Tomasz Kuczborski. Zdjęcie na okładce: Marek Zaleski. Wydawnictwo TRIO, Warszawa 2012, s. 400.

**Marcin Orliński**, „Płynne przejścia. Szkice o współczesnej poezji polskiej”. Projekt okładki i stron tytułowych: Agnieszka Sitko. Biblioteka Arkadii – Pisma Katastroficznego, tom 69. Instytut Mikołowski, Mikołów 2011, s. 256.

**Wojciech Piotrowski**, „Słownik elit dawnych ziem wschodniej Rzeczypospolitej”, t. 1. A-H. Wydawnictwo ASTRA, Łódź 2010.

**Wojciech Piotrowski, przy współudziale Marii Obrusznik-Partyki**, „Słownik elit dawnych ziem wschodniej Rzeczypospolitej”, t. 2. I-Ł. Wydawnictwo ASTRA, Naukowe Wydawnictwo Piotrkowskie, Łódź-Piotrków Trybunalski 2011.

\*\*\*

„Wydaje mi się, że cała sztuka to przechowywać takie opowieści i historyjki, które z pozoru są bez znaczenia, a jednak tworzą świat, w którym człowiek się porusza. Spotkałam się z opinią, że jest to książka o nieszczęśliwej rodzinie. Ja tak nie myślę. Moim zdaniem to jest książka – mimo rozmaitych nieszczęść – o niesamowitej sile rodziny i o poczuciu zakorzenienia i tożsamości, które się czerpie z faktu, że się do tej rodziny należy – mówi Ludwika Włodek w wywiadzie udzielonym dla „Tygodnika Powszechnego”, numer 26/2012.

Iwaszkiewicz wyłania się z »Dziennika« jako ktoś, kto rodziny nie znosi, skarży się: wnuk głupi, córki pazerne, zięciowie nieuprzejmi; a był to człowiek, który szalenie dbał o to, żeby ta rodzina była tym, czym jest. Ja do tej pory utrzymuję kontakty z moimi kuzynami i kuzynkami, choć często ludzie, którzy są tak daleko spokrewnieni, mijają się na ulicy, nie wiedząc nawet, że są członkami tego samego rodu.

My tę rodzinność celebруемy i to jest wielka zasługa moich pradiadków, którzy nas tego nauczyli. Mimo tych wszystkich nieudanych małżeństw, mimo różnych niesnasek, to, że rodzina była w stanie usiąść przy stole, zjeść wspólnie obiad czy spędzić razem święta, wydaje mi się ogromną wartością”.

\*\*\*

„Dwa i pół roku miał Franciszek Smuda, by przygotować kadrę do turnieju mistrzowskiego. W kraju futbolowo tak zgnębnym jak Polska, oczekiwania narodu były minimalne: chodziło o to, byśmy uniknęli kompromitacji. Dwa i pół roku to szmat czasu - sam zwykle właśnie tyle potrzebuję, by napisać powieść. Jeśli kto oczekiwał po Smudzie „Czarodziejskiej góry”, srodze się zawiódł, albowiem Franz nie usypał nam nawet kopca Kościuszki – pisze Wojciech Kuczok w „Polityce”, numer 25/2012.

Sebastian Boenisch płakał rzewnie po klęsce z Czechami i ja mu się nie dziwię, w pełni mu współczuję, uważam wręcz, że nasi reprezentanci wychowani na obczyźnie mają prawo wpaść w kliniczną depresję, za sprawą Smudy dopełniła się bowiem ich bolesna (re)polonizacja. Oni poznają dopiero wymiar tej sportowej bezsilności, która zawodnikom od urodzenia biegającym po rodzimych boiskach towarzyszy przez całe życie.

Selekcjoner nie nauczył piłkarzy niczego, marnując szansę, która za naszego życia już się nie powtórzy. Już nigdy nie zbiegną się tak szczer-

śliwe okoliczności: podarowany awans do imprezy, w której każdy mecz gramy u siebie, losowanie sprawia, że trafiamy na przeciwników rankingowo najsłabszych, a w decydującym meczu rywale muszą się nam przeciwstawić bez swojego lidera Tomasza Rosickiego. Polacy byli uderzająco bezradni, grali bez pomysłu i wiary. Jeśli komuś, podobnie jak mnie, chce się już rzygać od wiecznego »Nic się nie stało«, ten winien wołać o to, by w polskiej piłce czas tanioczy się skończył. Jeśli PZPN sięgnie po kolejnego trenera z wyprzedzący, nigdy się z piłkarskiego grajdoła nie wydostaniemy. Już się słyszy, że idealnym kandydatem byłby Maciej Skorża – to prawda, żaden trener ligowy tak się nie wyspecjalizował w tłumaczeniu porażek. »Wypada przeprosić kibiców« to żelazny punkt jego repertuaru podczas konferencji prasowych.

Smutny był widok tysięcy biało-czerwonych szalików smętnie zwisających z polskich karków, poczynawszy od Pierwszego Kibica RP, skończywszy na ostatnim moczymordzie, co się dopiero po ostatnim gwizdku zbudził. A już najsmutniejsze jest to, że nawet za mistrzów porażek nie możemy się uznać. Nie mamy swoich »Pól Athenry«, bo jakoś nikt nie pomyślał, że bardziej nam trzeba ogłosić konkurs na melancholijną pieśń pożegnalną niż na songi triumfalne”.

\*\*\*

„Film o Escrivie »Gdy budzą się demony« Rolanda Joffe, reżysera świetnych »Pól śmierci« i »Misji«, miał pojawić się w polskich kinach 15 czerwca. Ale się nie pojawił, bo pod koniec maja Monolith Films, dystrybutor filmu, zrezygnował bez podania powodów z jego rozpowszechniania w Polsce. Fora internetowe osiągnęły temperaturę wrzenia. »Coś mi to wycofanie wygląda na względy lewacko-biznesowe« – pisali jedni. »Widać Opus Dei nacisnęło, kogo trzeba« – spekulowała przeciwna strona politycznej barykady – pisze Robert Siewiorek w „Gazecie Wyborczej”, numer 139/2012.

Ale nie ma czego żałować. Rację ma internauta, który ironizuje: »To film o dobrym księdzu, który się kulom nie kłaniał«. Na tle Hiszpanii – głównie z czasów wojny domowej i lat 80.

– Joffe opowiedział trzy splatające się historie: dzieciństwa i młodości św. Josemarii Escrivy, który doznawszy objawienia, zakłada wspólnotę, a potem ucieka przed dybiącymi na jego życie komunistami; Manola, przyjaciela Josemarii z dzieciństwa (zostaje faszystowskim szpiegiem w szeregach komunistów); wreszcie Roberta, brytyjskiego dziennikarza, syna Manola, który po latach chce napisać książkę o św. Escrivie i od zgorzkniałego, umierającego ojca próbuje wydobyc wspomnienia”.

## LECH KONOPIŃSKI FRASZKOPIS Z KONOPI

### ...i realizm

Na Afrodytę czekam nieustannie,  
gdy się wyłoni z fal spienionych w wannie.

### Tezeusz i Ariadna

Znam labiryntu każdy zakątek,  
gdy mnie Ariadna jakaś zachwyci.  
Zdarza się jednak, że tracę wątek  
i z mych zalotów wychodzą *nici*.

### Leda z łabędziem

Jeśli łabędziem  
lada kto będzie,  
to i z łabędziem  
Leda nie będzie.

### Brzydkie kaczątko

Brzydkim kaczątkiem był niejeden,  
zanim pokochał piękną Ledę.

### Boscy lekarze

Często bezradny jest lekarz,  
gdy lęk dopadnie człowieka.  
Dawno bym umarł ze strachu,  
gdyby nie Eros i Bachus!

### Zdrajcy

Pęd do zdrad ich poniósł  
na trojańskim koniu.

### Perskie oko

Czyż przewidywał mistrz Hammurabi  
swe powiązania z naszą epoką?  
Gdy dziewczę „oko” śle jako wabik,  
któż nie odpłaci „oczkiem za oko”?!

Gazeta Kulturalna Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka – miesięcznik

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ŻELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543

e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący — Andrzej Dębowski.

Współpraca: Józef Baran, Emil Biela, Tadeusz Czerniawski, Małgorzata Dębowska, prof. Igancy S. Fiut, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Ivosse, Stefan Jurkowski, Rafał Orlewski, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszczowska, Igor Wieczorek, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.